



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC

ROK 1924. WARSZAWA, 22 MARCA

CENA NUMERU 1 ZŁOTY (1.800.000 Mkp).

TREŚĆ NUMERU:

W setną rocznicę urodzin Marji Ilnickiej — *Marjan Dubiecki*. O nowy typ kobiety — *P. Pieśni* — *Marja Grossek Korycka*. O życiu literackim — *Zofja Szmydtowa*. Świat Kobiety (feljton) — *Marja Grossek Korycka* (c.d.) Z Cyklu „Sylwetki“: *Zofja Stankiewiczówna* i *Eugenia Waśniewska* — *C. Walewska*. Małżeństwo Zygmunta Kietlicza (powieść) — *M. Domańska* (c.d.). *Dzikie Ziele* — *Marja Dąbrowska* (dok). O arcydziele Edmunda Rostanda — *Gabryel Karski*. *Nasze Życie* — *I. W. K.* Wystawa u Baryczków — *N. Samatychowa*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Jakie nosić kapelusze w tym sezonie? — *B.* Z teatrów — *W. Miłaszewska*. Z książek — *I. W. K.* Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta*. Dodatek powieściowy: *Siostra Joanna od Krzyża* (powieść) — *Matylda Serao*. Dodatek robót i ubiorów.

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN MARJI ILNICKIEJ

Wśród długich lat niewoli zatraciliśmy dużo wspomnień o licznych tłumie pracowników, którzy swym trudem, poświęceniem, swą wytrwałością na różnych polach życia narodowego, starali się ową falą życiową utrzymać, przetrwać noc niewoli, dotrzeć do świtu zmartwychwstania, w które niezłomnie wierzyli. Obowiązkiem pokoleń, co ujrzały ów dzień wyzwolenia, oddać hołd należny tym, którzy przedewszystkiem żyli dla ojczyzny, pracowali przez życie całe, by zbliżyć ową zorzę wolności. Jedną z takich pracowniczek, dla pomnożenia dobra upadłej ojczyzny, była na polu naszego piśmiennictwa poetka, dziś przeważnie zapomniana, *Marja z Maykowskich Ilnicka*... W roku obecnym przypada setna rocznica jej urodzin: słuszną, zaiste, jest rzeczą z głębin zapomnienia wydobyć tę piękną postać pracowniczkę na polu umoralnienia Kobiety-Polki i zachęty do pracy na polu utrzymania ideałów narodowych; uczyła ona, iż nie jest zadaniem życia „siać łzy marne na nicestwa roli“, lecz w znojnym, codziennym trudzie wznosić gmach przyszłości dla skrzępowanej niewolą ojczyzny.



Dajemy tu niezupełną — niestety — jej sylwetkę, lecz kilka tylko rysów, z których przyszłość może wytworzyć całość, godną zasłudze tej polskiej pieśniarki.

Marya z Maykowskich Ilnicka urodziła się we wsi Jasiennej, nad Pilicą, blisko Białostrzegów na początku roku 1824 Ojciec jej pułkownik saperów wojsk pol.

Królestwa Kongresowego, Edward Maykowski, niewtajemniczony w sprzysiężenie listopadowe, w pierwszej godzinie wybuchu wahał się, ale wkrótce dostrzegł drogę, którą pójdzie znaczna część narodu — i on nią wnet poszedł. Nim ranek 30 listopada zaświtał, stanął ze swymi saperami na posterunku obronnym przy zbiegu Nowego-Swiatu i Placu Trzech Krzyży...

Pierwsze wrażenia przyszłej poetki — wówczas siedmioletniego dziewczątka — były to wielkie nadzieje i wielkie smutki. Obiły się o ściany dworku w Jasiennej echa boju pod Grochowem, zwycięskiego grzmotu armat z pod Stoczka i wreszcie, na początku kwietnia nadeszła wieść o zgonie jej ojca. Wraz z większymi siłami wojsk moskiewskich weszła do Królestwa cholera, która porwała ojca. Pozostała w niewielkiej wiosce młoda, niezwykle piękna wdowa, Julia z Garczyńskich, z czworgiem drobnych dzieci. Wychowanie ich, ocalenie niewielkiego kawałka ziemi stało się jedynym jej życia zadaniem. Odrzuciła propozycje małżeństwa, aby spełniając obowiązki względem dzieci nie sprzeniewierzyć się ojcu. Dzieci wyrastały

w tej wsi nad Pilicą w atmosferze patriotycznej. Głową domu był dziadek macierzysty, pan Garczyński, starzec 90 letni, Konfederat Barski, niezłamany wiekiem, uosabiając dzieciom tę przeszłość przedrozbiorową, gdy panowie Konfederacji, śpiewając, „stawałam na placu w Boga ordynansu, — ranę porzucam dla nieba wakansu, — dla wolności ginę...”, bronili oczynę, za nią walczyli... A tuż obok piastun dzieci stary Jan, ordynans ojca, towarzysząc wojny z Hiszpanji, karmił je opowiadaniem o przygodach przebytych w zaciętej walce narodowej, o Księciu Józefie, o Napoleonie i Moskwie; uczył ich musztry, urządzał zabawę w wojnę... Dziewczątka dorastające, mające już w sobie zawiązki poetycznych uzdolnień, przysłuchiwało się temu z zapałem, odczuwało wczesnie moc uczucia patriotycznego, a epoka ówczesna ciągłych męczeństw, kajdan, wygnań i szubienic wzmagala i pogłębiała nastrój patriotyczny... Około roku 1840, gdy Konfederat, przeżywszy 102 lata umarł, a gospodarstwo w Jasionnej w kobiecych rękach zaczęło iść coraz gorzej, pułkownikowa folwark wydzierżawiła i do Warszawy z dziećmi się przeniosła. Tam przyszła poetka uczyła się na pensji pani Plewińskiej i zaczęła już próbować uzdolnień swego pióra. Pani pułkownikowa głównie w synach oceniała uzdolnienia, na jedynaczkę swą mniej zwracała uwagi i, zdaje się, lekceważyła jej talent poetycki, który mógłby w cieniu ścian domowych bezowocnie zwiędnąć. Przypadek, odgrywający często w życiu rolę stanowczą, wyprowadził, jak mówi tradycja, młodą poetkę na arenę literacką. Zgubiła ona na ulicach Warszawy zeszyt ze swymi wierszami, a Kaz. Wład. Wójcicki znalazł je i należycie ocenił; zachęcił młodą edeptkę literatury do dalszej pracy, co stało się początkiem szerszej i później, długie lata prowadzonej, jej działalności literackiej. Wójcicki, który w połowie XIX w. budził w Warszawie, uspiiony, po r. 1831, ruch literacki, odemknął młodej pracowniczce łamy „Biblioteki Warszawskiej”, przodującą wówczas w naszym piśmiennictwie miesięcznika. Tam poetka zaczęła umieszczać pierwsze swe prace. Tam dała się poznać jako pełna talentu literatka; W roku 1863, prawie trzydziestoletnia, poślubiła Tomasza Illickiego, prawnika, człowieka wysokiej wartości moralnej, a przedewszystkiem gruntownie wykształconego jeszcze z uniwersytetu warszawskiego, przed r. 1831.

Od r. 1863 nazwisko Maryi Illickiej staje się znanem i bardzo cenionem. Nie odznaczał się jej talent poetycki orlim poletem, ale uderza niezmiernym wdziękiem i formą poetycką. Ponadto górowały w niej, od zarania jej działalności do końca życia, najzaciejsze dążności, duch obywatelski, który nieśmiało, z cicha, ale wciąż kołatał do umysłów, będących w uspieniu od pogromu listopadowego.

Bolesne rozczarowania, w r. 1846 i 1848 pogłębiły znacznie ów bezwład i sen odrętwienia, z którego nawet wojna Krymska, porażki Rosji, obudzić nie zdołały. Prawie nie spotykało się wśród ludzi poważniejszych, bolejących nad upadkiem i poniżeniem kraju. Ludzie pióra prawie wcale nie poruszali, bodaj w zasłonach omówień tych kwestji. Surowość cenzury i jakiś przytem bezwład wstrzymywały ich dłonie. Illickiej praca literacka szła w kierunku innym, w kierunku budzenia ducha narodowego. Patrząc na ową pracę po kilkudziesięciu latach, można rzec, bez cienia przesady, iż niejako programem jej działalności była dążność do urzeczywistnienia słów poety, który wołał: — „nie zginęła jeszcze ojczyzna póki niewiasty tam czują! — Bo z ich to serca płynie trucizna, którą wrogowie się trują. — Jeszcze wykarwią one w zaciśniętych — grono olbrzymie młodzieży. — Od nich pacholę o nas usłyszy, — i jak my w wolność uwierzy... I rzeczywiście, omal nie pierwszym czynem literackim Illickiej było rzucenie do gniazd rodzin polskich małej, a tak wówczas potrzebnej książeczki, pod nazwą „*Ilustrowany Skarbczyk Polski*”. W tym prawdziwym „skarbczyku” dla owych czasów opowiedziała ona wierszem dzieje Polski. Książeczka ta wywierała wpływ niemały na szerokich obszarach Polski przedrozbiorowej.

Niepodobna w szczupłych ramach czasopisma odtworzyć zupełnego obrazu działalności literackiej Illickiej, która to działalność była zarazem i obywatelską. W jej salonie literackim na trzecim piętrze kamienicy niegdyś Krzezińskich, na rogu Placu Grzybowskiego i Żabiej. od r. 1854, widywano obok ludzi pióra i młodzież myślącą o ojczyźnie i biorącą udział w knowaniach i robotach podziemnych. Przesuwały się przez ów salon postacie liczne, począwszy od twórców pierwszej demonstracji na Lesznie 29 listopada 1860 r., aż do ludzi patrzących na zmierzch powstania styczniowego. Tam bywał oczywiście brat pani domu, o lat cztery od niej młodszy, Jan Maykowski, który z polecenia Jurgensa, urządzał ów pierwszy obchód listopadowy, przed Karmelitami na Lesznie, wraz z Karolem Nowakowskim i Bolesławem Zmijewskim. Ten brat, w połowie stycznia 1863 r., wówczas członek komitetu Centralnego, przyniósł do siostry literatki, zredagowaną przez siebie, z polecenia rzeczonożego Komitetu, odezwę, czyli manifest, wzywający do powstania, prosząc o przejrzenie i poprawę. Nieznaczące tylko *poprawki stylistyczne* doradziła mu siostra... Więc i do tego dokumentu dziejowego dotknęło pióro tej Kobiety cichej, niestrudzenie pracującej nad zachowaniem i podniesieniem ducha narodowego wśród młodych pokoleń.

Od chwili wybuchu walki styczniowej salon państwa Illickich przestaje być ogniskiem literackich zebrań,

lecz staje się trwałą ostoją dla wszystkich prac tego roku wielkich zamierzeń i wielkich ofiar. W owej epoce nie jednostki, lecz tłumy brały udział w zabiegach i trudzie, gdzie się wszystko rzucało na szalę losów, gdy skala umysłów i serc podniosła się ku niebu i ojczyźnie, gdy zbrodnie znikwały, a ludzie wyszlachetniali... Dom poetki w ciągu lata doby styczniowej gościł kilkakrotnie u siebie posiedzenia Rządu Narodowego; pan domu objął urząd skarbnika rządu powstańczego, a w ostatnim nader ciężkiem półroczu tych niezwykłych zmagañ się i wysiłków, częste tam odbywał narady Traugutt z władzami sobie podległymi.

Nadszedł wreszcie kwiecień 1864 r.; miesiąc ten historia nazwie, i słusznie, grabarzem powstania styczniowego. Organizacja władz powstańczych upada, w proch się rozsypuje. W pierwszej dekadzie kwietniowej idzie do więzienia Illicki, idzie Traugutt. Wpředce potem i poetka przeszła katusze więzienia i inkwizycji. Nie oszczędzili jej udręczeń moralnych inkwizytorowie. Wchodziła do jej celi więziennej komisja śledcza i uroczyście odczytywała wyrok na jej męża... Z tych opresji wychodzi ona szczęśliwie. O tyle przynajmniej, iż nie mierzyla swemi stopy obszarów Sybiru, acz jej serce mocno się krwawiło.

Mąż nie został stracony: wysłano go do Katorgi syberyjskiej, lecz więzadła jego umysłu rwać się zaczęły już w cytadeli warszawskiej, ostatecznie zaś rozluźnienie sił umysłu nastąpiło na miejscu wygnania. Dłoń jakaś zbrodnicza, w warunkach nieznanych, położyła kres jego życiu... Władze galernicze, pomimo poszukiwań, nie odnalazły śladu zbrodniarza; nawet zwłok nie odnaleziono... Zwęglony jakiś kościotrup odkryto w piecu chaty syberyjskiej, władze uznały jako prochy zgładzonego Illickiego... Do wielkiej tragedji życia narodowego przybywały wciąż tragedje pojedynczych rodzin... Któż je dziś obliczył!...

Upadek zupełny powstania, skazanie Polski przez zwycięskiego wroga na zagładę zupełną stały się epoką przełomu w życiu Illickiej. Cicha ta, napozór słaba niewiasta nie opuszcza bezradnie dłoni. Na opustoszałych po klęsce pobojuwiskach, na grobach, które zaledwie okrywać się zaczęły oponą nowego życia roślinnego, powołuje ona do pracy myśli, do wysiłku dłoni kobietę — polkę. W r. 1865, zaledwie z więzienia uwolniona, staje u warsztatu pracy, jako redaktorka pisma dla Kobiet, jako kierowniczką Bluszczu. Wobec władz obejmuje redakcję księgarz Michał Glücksberg. U steru tego pisma stoi czujnie, niezmordowanie, lat trzydzieści. Dzisiejsze pokolenia z trudnością odtwarzają w wyobraźni swej bezdenne piekło stosunków ówczesnych w całym zaborze rosyjskim, gdy spętano myśl polską w druku i słowie, zabijając życie umysłowe, gdy zburzono szkołę, gdy wdzierano się nawet do ognisk

domowych, by i stamtąd język polski usunąć, uczucia narodowe wypłenić gdy każdy urzędnik starał się zrobić najwięcej dla uciemnienia polskości i katolicyzmu...

Do walki z tą falą zagłady staje z piórem w dłoni — Marja Ilnicka. Walka, zaiste, nierówna. Pragnie ona zabezpieczyć przynajmniej to, co jest do ocalenia pod strzechą polską. „Bluszcz” pod jej tchnieniem wypielęgnowany wnosił dużo uczucia narodowego pod osłoną przybranych form i omówień najrozmaitszych, aby się ochronić od srogości ołówka cenzora, co się nad Bluszczem pastwił się bardziej, niż nad innymi pismami perjo-dycznymi. Dla tego też niektóre swe prace, gdzie wyraźniej nieco, wśród wód spokojnych, wynurza się żywszy nurt życia narodowego, drukuje gdzie-indziej, nie w swem piśmie, by cenzuralną obławę omylić. Tak więc ono przepiękne wspomnienie o tych, co przed niewiele laty walczyli w powstaniu styczniowym, pod nagłówkiem „Anioł Pański”, umieszcza w „Kalendarzu J. Jāworskiego z r. 1871. Rozumowano zapewne — i słusznie — że cenzor mniej zaglądać będzie do treści kalendarza, chociaż kalendarz wszędzie wchodzi, tam nawet gdzie z książką wcale się nie wchodzi, i o Bluszczu nie słyszano.

Wpędce po powstaniu reakcja wśród naszego społeczeństwa podniosła głowę. Walkę przegraną, ofiarności, budzącą podziw wśród obcych bezwzględnie potępiano, nie przebaczano nawet grobom; kiełkować zaczęły nowe kierunki, witane przez wrogów z radością. Ujrzano wkrótce „ugodowców” i „realistów”... Poetka pragnie, by zachowano bodaj odrobinę czci dla grobów. Wyraźnie to się odz-

wierciadła we wspomnianym wyżej wierszu p. t. „Anioł Pański”. Osłonięte to wzmianką o rycerzach wypraw Krzyżowych, ale czytelnik polski czytać umiał między wierszami. Autorka, zwracając się do dziewczątek naszych, woła:

„Zadzwońmy gdzieś dzwony na wieży,
Kłękni cicho i módl się dziewczynol...”

Niechaj cicho spłynie Anioł Pański
Na skrwawione bojowiska pole;
Niechaj każdy rycerz chrześcijański
Znamię dobrej śmierci ma na czole...

Bo śpiącego pod lekką mogiłą
Nieśmiertelność w całun swój oprzędzie,
Choćby Krzyża na grobie nie było,
Lud przychodzić i kłękać tam będzie.
A w legendy szaty idealne
Duch narodu zwolna go ubierze.
Kadzielnice kwiatów niewidzialne
Wciąż balsamy łać będą mu świeże.
I nazawsze już piękny i młody,
Pozostanie wiecznym węzłem zgody
Między czynem, a czynu natchnieniem”...

Praca w Bluszczu nie wyczerpywała całej działalności Ilnickiej. Przed epoką Bluszczową, i podczas niej nie zamykała ona swej pracy na jednej tylko niwie literackiej. Jej utwory sceniczne — jak *Alchemik*, obraz dramatyczny, *Panny Konopianki*, komedia prozą, ukazująca się na scenie warszawskiej, wreszcie, uwieńczona nagrodą na konkursie, w r. 1861, ślicznym wierszem skreślona komedia *Kto winien* — witane były z uznaniem. Powieści *Beata*, *Pan Profesor* i inne, skreślone z niepospolitą wdzięką i prawdą, zawsze zastosowane do potrzeb pol-

skiej kobiety, przypominały wzory angielskie, na których nasza autorka kształciła się, których duchem i sposobem pisania była przejęta, zawsze pożytek własnych ziomków mając na celu. I ten cel osiągnęła: wpływ jej prac na szerokie koła kobiet naszych był znaczny, w epoce dwóch, trzech dziesiątków lat po powstaniu styczniowym.

Obecnie zebranie, przejrzenie i ponowne wydanie wyboru jej prac — dziś zapomnianych — byłoby czynem dobrym, pożytecznym dla niewiast polskich, byłoby hołdem dobrze zasłużonej polskiej kobiecie, obywatelce.

Na kilka lat przed zgonem ustąpiła ona z redakcji *Bluszczu*... W ciszy, w zapomnieniu, wśród różnych braków, w epoce beznadziejnej niewoli, gdy wróg święcił tryumf zagłady polskości, gdy w społeczeństwie naszym coraz mniej widziano oporu przeciwko śmierci, — a ten opór świadczyłby o życiu — zgasła Marja Ilnicka, d. 15 sierpnia 1897 r. Przeszła przez pole życia samotna i wgłębi ducha — smutna, ta niezmordowana pracownica dla przyszłości swego społeczeństwa, o głębi jej smutku, ukrytego dla świata, niech świadczą te wyrazy skreślone na kilkanaście dni przed zgonem:... „w sercu mojem niechaj się cisza łagodna uczyni,

Obejrze biedne czoło złane znojem.
Ta mądrość: która życia jest mistrzyni.
Niech zstąpi do mnie i ciszę uczyni,
Niechaj mnie zwolna do snu ukołysze.

Stało się zadość jej życzeniu. Cisza góruje nad grobem jej, na Powązkach, i nad jej znojną pracą w piśmiennictwie.

Marjan Dubiecki

O N O W Y T Y P K O B I E T Y

Gdy z odległości dziesiątków lat, z wiekowej perspektywy spojrzysz się na ubiegłe pokolenie — z gmatwaniny wypadków i zdarzeń, z drobiazgowości wielkich i małych faktów wpływa jako cecha wspólna danego pokolenia — jego styl.

Czy to będzie pokolenie Kościuszkowskie, czy pokolenie Mickiewiczowskie, — czy wreszcie pokolenie sześćdziesiątych lat — uderzeni jesteśmy zawsze wspólnym stylem ludzkiej danej epoki.

O pokoleniu Mickiewiczowskim mówi Artur Górski:

„Wszyscy oni posiadają jeden ton zasadniczy. Przejawia się on we wszystkim, cokolwiek weźmiemy z tych czasów pod uwagę. Ich sposób mówienia, myślenia, ich uczucia i czyny, ich twarze widne nam w zbiorach sztychów i portretów, ich listy, ich domy, mieszkania, meble, nawet ich giest i chód, dochowane w starcach tego czasu, związane są z sobą wysokim stanem kultury narodowej”.

Gdy od tamtych pokoleń przeniesiemy spojrzenie na pokolenie nam współczesne — musimy stwierdzić z całą jaskrawością rzucający się w oczy fakt — że jesteśmy bez stylu i bez jednolitej kultury. Dzisiejsza inteligencja polska posiada w niesłychanie nikłym stopniu zdolność wspólnego odczuwania, zdolność jednolitego silnego reagowania, a co zatem idzie nie posiada jednolitej fizjonomji duchowej.

Jesteśmy pokoleniem — które jeszcze nie zdobyło się na swój styl; ale przedewszystkiem jesteśmy pokoleniem, które nie wytworzyło swego typu kobiety.

Zajrzyjmy do klasy gimnazjum żeńskiego, przejdźmy przez salę uniwersytecką — gdzie się tak tłumnie gromadzą studentki, że zda się ginąć wobec natłoku kobiet nieelicznicy studentki, przyjrzyjmy się kobietom — urzędniczkom, kobietom pracującym i kobietom bawiącym się — czy na podstawie tych obserwacji zdołamy

wytworzyć pewien określony obraz typowej kobiety naszej epoki.

Nie możemy powiedzieć: „Oto jest doskonały typ polki naszego pokolenia”.

Może, może — już jest in statu nascendi — ale go jeszcze nie widzimy, jeszcze nie możemy się nim szczyścić, jeszcze nie stanął mocną stopą w realnym życiu — jeszcze sobie nie zdobył obywatelstwa.

Był moment w historii życia kobiecego w Polsce, gdy zaczął się kształtować typ polskiej dziewczyny: — Były to ostatnie lata przedwojenne — lata budzącego się ruchu skautowskiego. Było to pokolenie kobiece wychowane już w szkole polskiej po strejku szkolnym, zahartowane w zdrowej i silnej atmosferze ówczesnych tajnych organizacji ideowych w trzech zaborach. Zaczął się wtedy wytwarzać zdrowy moralnie i fizycznie, pełen radości i woli życia typ kobiety. W zawierusze wojennej one odegrały swą rolę — czy w legionach, czy w

formacjach wschodnich, czy w obronie Lwowa. W latach powojennych wsiąkły w codzienne życie niestety — wsiąkły prawie bez śladu. A typ kobiety powojennej?...

— Jeżeli chodzi o cechę *wspólną* — uderzy nas jedna cecha dominująca, bijąca w oczy — to *chero-lactwo fizyczne*. — A dalej — dość duże zdolności intelektualne — przy zubożeniu i przy opadnięciu do zera *temperatury ideowości*.

Niesłychanie mały odsetek młodych kobiet, uczennic wyższych klas lub studentek widzimy na boiskach sportowych, jeszcze mniej przy warsztacie pracy ideowej.

Natomiast przeliczmy ile z nich tańczy schimy i to z wyrafinowaniem lwic salonowych?

— A zajrzyjmy do wnętrza naszych mieszkań. Uderzy nas szarzyzna i beznadziejna nuda, uderzy nas całkowite odarcie codziennego życia z tego, co nosi choćby najmniejsze ślady estetyki. Przeciętne mieszkanie — przeciętnie zamożnej rodziny polskiej — jest wręcz odstrasające swą nudną i często banalnością — swą wyjątkową nędzą pod względem estetycznym.

I proszę! nie pytajcie o bibliotekę domową! — Wyliczę wam jednym tchem — dziesiątki naszych kobiet, które od ukończenia pensji nie kupiły ani jednej książki — wyliczę wam drugie tyle nazwisk — kobiet, które napewno znają wszystkie figury tanga i schymi „model 24” — a nie przeczytały ani jednej strofy Norwida i ani jednego dramatu Wyspiańskiego, — i to kobiet z inteligencji, a jakże z dobrej, rodowej inteligencji polskiej. Nie chodzi mi o moralizowanie, przeciwnie! — gdyby to było w mej mocy udostępniłabym możliwość zabawy, radosnej, wesołej rozrywki każdej młodej dziewczynie, zachęcałabym do nauki tańca i gimnastyki rytmicznej każdego podlotka, każdą urzędniczkę biurową, prowadziłabym na bale każdą dorastającą pannę, ale chciałabym, aby wszystko miało swój doskonały

umiąg, swój szlachetny charakter, swój styl.

Dziś tak jest, że elegancka warszawianka — wychodząc na ulicę, zabiera z sobą cały swój dobytek i zasobność domu — bo cała zasobność jest ulokowana w jej fatalaskach i kapeluszach, futrach, lakerkach, bo jest tak, że w szafie wiszą suknie od Hersego, a na ścianie ordynarne oleodruki, bohomyzy w mieszkaniu zaś króluje przeraźliwa tandeta wiedeńskich mebli. Bo jest tak — że wydaje się na kupno sukni balowej miesięczny zarobek męża, ale kupno estetycznego sprzętu do mieszkania traktuje się, jako rzecz zbytku.

Mniejsza o nasze domy i mieszkania wyzute z kultury i stylu.

Chodzi o ton zasadniczy, o ten ton, który przepaja życie codzienne, przejawia się w sposobie mówienia, myślenia, w uczuciu i czynach.

Mówi się tyle o polskiej kobiecie! Czasem aż za dużo! Gdzie jest? gdzie jej serce, gdzie jej myśl spokojna i jasna? Gdzie jej równowaga i ofiarności cicha, a szlachetna, uśmiechnięta i pogodna, gdzie jej zdolność do zapominania o sobie.

Gdzie jest — ta promienna budowniczy życia, ostoja i ciepło rodziny?

Gdzie jest współczesna Polka!



Wychowała nas wojna Rosłyśmy, dojrzewałyśmy, kształtowałyśmy się wewnętrznie pod krwawym deszczem walk i bitew, były w nas gromy wielkich wypadków, wstrząsały nami katalizmy dziejowe, oddychałyśmy powietrzem przepelnionem tchnieniem chwały i bohaterstwa, patrzyłyśmy w oczy najstraszniejszych nieszczęść i najpromienniejszych zachwyceń i radości — wyszłyśmy z *twardej szkoły życia*.

Czemże będziemy?

Tak wychowane — jakim szlakiem pokierujemy nasze życie prywatne i publiczne?

Czy odwrócimy oczy, od spraw wielkich, wyłamujących skrzydła do górnego lotu, czy też odżegnawszy się od wielkości, wybierzemy małą, przyziemną ścieżkę wygody i sytego dobrobytu?

Duża jest różnica między człowiekiem, który jest wolny — a człowiekiem, któremu się — *zdaje*, że jest wolny.

Mówił ongiś Mickiewicz „Wstała z martwych ojczyzna Wasza i jest wpośród Was. Chcecie ją widzieć? Nie przyjdzie do Was, zamkniętych u siebie; nie wlezie Wam przez drzwi, nie napłynie rurami — jak powódź prawdy, wezbranej do wysokości okien Waszych. *Trzeba się podnieść duchem aż do Niej*”.

Tu leży tajemnica i rdzeń istoty rzeczy.

Nim się zacznie kształtować nowy typ kobiety — trzeba, abyśmy najpierw dorosły duchem do naszej wolności.

Jest to czynnik pierwszy i niezbędny — aby wyrósł w nowych warunkach nowy typ kobiety.

Nowy typ kobiety będącej uosobieniem fizycznego zdrowia i doskonałej dyscypliny moralnej, pełen impetu życiowego, kobiety świadomej swych praw i obowiązków. Będzie to mężna współtwórczyni dnia dzisiejszego, uroczą towarzyszką życia, umiejająca spełniać swą pracę i obowiązki z radosnym uśmiechem i pełnym poczuciem odpowiedzialności.

P.

P I E Ś N I

MARJA GROSSEK-KORYCKA

I.

Miljardy lat! przez gadzinowy szpaler —
Dantejskich lasów — szła bym miljardy lat!...
Nawet bym wstecz, to życie — to moje życie galery —
Przeszła powtórnie — ślad w ślad...

Na wieki wieków! więc... zejść w piekielną głębinę.
W Luciferowe lody wmarzną po wieczny czas! —
Niech za to dadzą mi przez jedną godzinę —
Raz jeszcze — jeden — jedyny — jeszcze raz...

II

Tęsknoty mojej żaden kraj nie gasi —
Ramionom moim firmamentów brak!
Mieszkać bym chciała w bezdomności ptasiej,
Po szlakach wichru wałęsać się, jak ptak.

Niech tylko wzrok — błękitnych sięgnie fal —
Niczem już tego wrażenia nie opętam:
Czuje, piersiami, powietrza prętą dal...
I brak mi tego, bo ja to, ach, pamiętam!

III

O, bezdomne niebiosa — ty, cudny księżycu!
Ty, cichy — ty, samotny — ty o srebrnym licu...
O, baranki ogniste na niebieskiej łące —
Tysiące gwiazd... tysiące!...

Wy, widma gór sinością spowite daleką —
Rzekol...
Brzozy najwietsze — lilje najbledsze —
Ty Wietrzell...

Stawie milcząco — szumie topoli:
duśza mię boli.

O ŻYCIU LITERACKIEM

Kulturę budują nie tylko twórcy i ich dzieła, ale ci, którzy je na korzyść osobistą przetworzą, i ci, którzy ich sens głębszy wyjaśnią, ci wreszcie, którzy im dostęp do szerokiej publiczności zapewnią: czytelnicy, krytycy, wydawcy, kolporterzy.

Dlatego dzisiaj przedmiotem badań, zwróconych ku twórczości umysłowej człowieka nie jest wyłącznie autor i dzieło, ale całokształt literackiego życia danej epoki. Dzięki wybitnym studjom — głównie niemieckim — upowszechnił się ostatnimi czasy ten punkt widzenia i u nas. Przygotowała go w znacznej mierze tradycja polska,

Może nigdzie tak boleśnie i tak często nie skarżyli się uczeni i artyści na brak oddźwięku w narodzie, jak właśnie w Polsce. Wszak już pierwszy u nas natchniony poeta wołał z gorącością: „Sobie śpiewam a Muzom, bo któż jest na ziemi, coby serce uciechy chciał pieśniami memi“. Jakże obojętni byli dla Kopernika Polacy, jak mało wpłynęli na wzrost jego wszechświatowej sławy.

A po tych dwóch nieocenionych, wymienićby można długi szereg autorów co warsztatu pracy, oddźwięku i uznania szukać musieli wśród obcych.

W trudnych warunkach ekonomicznych, przy niezmiernie skromnych środkach, podejmuje dziś pracę kulturalną wrócone państwowemu życiu społeczeństwo polskie. Z większym doświadczeniem dziejowym, z pozyskaną wreszcie swobodą działania przystępuje ono do pracy nad rozwojem życia umysłowego w kraju.

Patrząc wstecz na nasz pochod historyczny, widzimy jasno, żeśmy niejedną ideję zgubili po drodze, wiele pomysłów zostawili w zarodku bez troski o ich życie dalsze.

Schnie i dziczeje myśl, której nie podtrzymała świadomość ogółu, bo bez współpracy czytelników nie da się pomyśleć w żadnej dziedzinie trwały postęp.

Czy podobna np. stworzyć jakąś terminologję naukową na drodze jednostkowego wysiłku? Dziwactwem będzie, dokąd życie i zwyczaj nie dadzą jej praw obywatelstwa.

To samo powiedzieć można o nowych rodzajach w sztuce, o nowych systemach w nauce, o nowych programach w polityce. Musi się do nich przystosować, dorównać choćby jedna grupa w narodzie, choć jedna musi je sobie przyswoić, uznać za ważne, aby stworzyć im niezbędne warunki życia. Im szerzej sięga wpływ danego dzieła, tem mocniej gruntuje się stałość jego bytu. Choćby naród wydawał ludzi genialnych, jeśli

działaniu ich przeszkodzi obojętność ogółu, nie staną się oni czynnikiem trwałej wiekowej kultury swego społeczeństwa. Badać błyszczyć jak gwiazdy odległe, obce.

Istnieje bowiem wzajemna zależność między twórcą i słuchaczem i zerwanie harmonji obu klęską zagroża.

Pieśniarz grecki roztrzaskał lutnię swą, bo nie miał komu śpiewać. Żalił się polski poeta na los, który mu kazał: „senne królestwa posiadać, nieme mieć harfy i słuchaczy głuchych, albo umarłych“...

Nie mniej cierpiało społeczeństwo polskie, nie umiejące korzystać z dobrodziejstw swoich genjuszów, ukarane strasznie za czasy Saskie, za ten wiek martwoty i zapomnienia o wielkich myślach przeszłości.

Spełniły się tragiczne fakty głęboko odczute przez Stanisława Szczepanowskiego, który stwierdzał z bólem, że u nas „usiłowania garstki bohaterów marnowały się zawsze niedołęstwem ogółu... że cała historia polska jest marnotrawieniem bohaterstwa i genjuszu z braku czynników niższej kategorii. tj. wiedzy i musztry“.

Twórczego owocnego współdziałania ogółu z artystą uczynym z rzemieślnikiem domagał się Norwid, tworząc koncepcję potężnego związku, czy bractwa pracy wyzwolonej, w której „piękno na to jest, by zachwycało do pracy, praca, by się zmartwychwstało“. W takim związku: „i słuchacz i widz jest artystą, lecz prymem ten, a owy niezbędnym chórzystą“.

Istotnie. Bez współdziałania widza, czytelnika, słuchacza dzieło jest skarbem zaklętym.

Skarb ten wydobyć i dać na duchowy użytek ludzkości, oto nakaz kultury, który u nas stać się winien hasłem dnia, bo u nas tak niedołężnie, tak słabo przenikają myśli i plany przodowników narodu w jego masę, a słabiej jeszcze promieniają na zewnątrz, poza Polskę.

Intensywność przeżycia i jego trwałość — to podstawy uczuciowe, bez których istnieć nie może sąd czy opinia o jakichkolwiek faktach.

Potem kontrola myślowa, chłodna ważenie motywów. A jako warunek niezbędny: uważne wnikanie w istotny sens zjawiska.

Inaczej czytali ludzie rękopisy, inaczej od kilku stuleci czytają druki.

Niebezpieczeństwo płynące z nawału książek bystro zauważył Norwid pisząc, że wszystko „dzisiaj jest czytane pędem, za panowania panteizmu druku, pod ołowianej litery urzędem“. Od czasu gdy słowa te wyrzekł trudności narosły jeszcze. Dzisiaj mówi się już nie tylko o aparacie pomocniczym przy wyborze i czytaniu książek, ale o konieczności „przeglądania“ niektórych pism o zastępowaniu lektury innych znajomością fachowej o nich recenzji.

Wobec powodzi drukarskiej kierownicy życia umysłowego winni baczyć na to, żeby dać najszerzszemu ogółowi możliwość zetknięcia się z tem, co dla kultury i niezbedne, — przez szkołę, czytelnię, wystawę, salę koncertową, kinematograf — a potem stopniono i w miarę środków iść dalej, opierając się na skrótach i perspektywach.

Ciężką odpowiedzialność bierze na siebie każdy, kto nie liczy się z koniecznością rozumnego wyboru, kto rzuca na los przypadku prace mierne i wielkie, lekceważy sobie nowoczesną zasadę ekonomji czasu i pracy.

Przez wprowadzenie oszczędności można jedynie uzyskać dla rzeczy dostojnych, dla arcydzieł tyle czasu, ile one bezwzględnie wymagają, by rolę właściwą odegrać.

Wielki zakres prac wymaga umiejętnego pośrednictwa i nieustannej pracy popularyzatorskiej. Jedne zjawiska musimy zbadać gruntownie, aż do wyczerpania ich treści, inne pod pewnym tylko względem. Z resztą wypadnie nam się zapoznać pośrednio — z sądem fachowców.

U podstawy takiego czy innego stosunku do danej kwestji leżeć musi wyższa racja: dokładna znajomość obowiązków fachowych, społecznych, ogólnokulturalnych.

Z rozważań powyższych wysunąć się dadzą pewne uogólnienia. Przedewszystkiem ustalony fakt współpracy i współdziałania czytelnika z twórcą, jako niezbędny czynnik normalnego rozwoju kultury. Stwierdzamy następnie konieczność wyboru najważniejszych pomników nauki celem ich popularyzacji, z uwzględnieniem wszystkich pomocy, jakimi chwila obecna rozporządza.

Wynikiem takiego szczepienia idei i dążeń twórców będzie stworzenie zbiorowej świadomości w narodzie i zbiorowej odpowiedzialności za każdą zdobytą prawdę, za każde ustalone doświadczenie.

Zofia Szmydtowa



MARJA GROSSEK-KORYCKA

S W I A T K O B I E C Y

(F e l i e t o n)

Umysł ten ciasnością swoją zapłacił za swoją ścisłość — jest to umysł - mikroskop. Widzi doskonale kroplę wody — i stosownie do siły swego wzroku obserwuje w niej jedno jakieś zjawisko, lub cały światek drobnoustrojów. — Ale szklanki on już nie zobaczy. I przenigdy nie obejmie widoku morza. Jest to sprowadzenie inteligencji ludzkiej do znaczenia idealnego korka w maszynie rozumującej ludzkości.

Gimnazjalno-uniuersyteckie wykształcenie jest to szkoła pozytywizmu, który wyrzucony z filozofii gdzie był intruzem, będąc filozofii tej zaprzeczeniem, w nauce ścisłej zajmuje stanowisko murowane, niewzruszalne. Umysł, chcący zajmować się jakąkolwiek nauką, musi przejść jego tresurę, wdrożyć sobie jego metody: wspinać się po szczeblach dowodów, ze stopnia na stopień, nie omijając żadnego i za każdym krokiem naprzód sprawdzając, czy mu rezultat wypada wedle formuły? jego tangens alfa, czy równa się sinus na kosinus alfa?

Jest to wychowanie umysłu dla wyłącznego praktykowania analizy — jest to wecowanie, szlifowanie, hartowanie i zaostrzanie narzędzia logicznego.

Wzięty w te tryby umysł przyzwyczajają się lekceważyć serce i niszczyć fantazję, jako zabawki, niegodne poważnego umysłu. Intuicję zatracają w sobie, aż do jej organu szczątkowego. nie przywiązując do jej podseptów żadnej wagi...

Przez lat piętnaście, od najmłodszego chłopięctwa wdrożono mu pewnik, na którym stoi cały gmach inteligencji nowożytnej: „za prawdę poczytywanem może być to tylko, co jest *eksperymentalne*“.

W najnowszych programach zamknięte zostało ostatnie okno, które otwierał profesor literatury, pokazując tym „malusińskim uczynom” inspe lot wielkich ptaków w bezdennej otchłani nieba... I z poematów robi dzisiejszą metodą analityczną rodzaj przekrojów, rodzaj preparatów do mikroskopu, nastrzykiwanych aniliną... „Jakie gatunki grzybów wymienia Mickiewicz w panu Tadeuszu?”

Liczne już pokolenia wychowane w tej szkole, porobiwszy już mnóstwo podkopów i wylamów w gmachu kultury naszej, który ongi wznosił człowiek syntetyczny, przygotowały naszą współczesność do ostatecznego zburzenia go... Dotychczas kobieta, zamknięta w domowym wychowaniu, była jeszcze wyobrazicielką nietkniętej psychiki normalnego człowieka, żywiołem intuicyjnym ludzkości. Prawda, że nie oddziaływała na losy jej bezpośrednio, ale oddziaływając na męczyznę, zwłaszcza na syna, nie

była na nie bez wpływu. Ręka matki na miękkim sercu dziecka pozostawiała odcisk swój na całe życie.

Ale od dwóch pokoleń tę samą szkołę analizy zaczęła przechodzić kobieta, *pozytywizując* się w niej i *wirylicyzując*... — i dla tego duchowy stan ludzkości gwałtownie się pogorszył...

Jakiegokolwiek jednak są ujemności tej szkoły, które wołają o pewną reformę, a nad którymi nie miejsce jest tutaj rozwodzić się, spełnia ona pod jednym względem przeznaczenie swoje doskonale: przygotowuje umysły do profesji intelektualnych.

Dla fachowców umysłowej pracy jest potrzebna. Ale dla całego ogółu ludzkiego, który umysłowo pracować nie będzie, szkoła ta jest zbyt techną i szkodliwą.

Intelektualista posiada tylko ręce arystokratyczne — umysł jego jest prostym robotnikiem. Ćwiczyć się musi długo i mozolnie, aby mózg wykonać kiedyś płatne obowiązki. Nauka jest jego profesją, którą, musi *umieć* gruntownie i drobiazgowo. Pracownik fizycznej pracy naodwrot: jego ręce są to zaprzędane wyrobnice — jego umysł to wielki pan! Umysł jego nie będzie nikomu służyć, nie będzie nic za pieniądze robić — on może sobie pozwolić na ten wielki zbytek, żeby się kształcić dla nieporównanej rozkoszy posiadania olśniewającej oświaty, wiedzy bezinteresownej, myśli czystej, o gwiazdach niedosięgalnych i bezużytecznych — dla rozszerzenia duszy własnej — dla otwarcia przed nią horyzontów niezmiernych — dla harmonijnego rozwinięcia w sobie człowieka i godnego pełnienia człowieczeńskiej misji. W tym celu potrzeba stworzyć dla olbrzymiego ogółu ludzkiego szkołę, która jeszcze nigdy nie istniała: *szkołę syntetyczną*. W szkole tej nie trzeba będzie, nic *umieć* — ale niezmiernie wiele *znać* i *wiedzieć*... Przez uszy i oczy uczniów przepłynie w streszczeniu cały świat — Ich ideałem jest nie uczony — ale myśliciel i mędrzec.

Nowa szkoła — *szkoła człowieka* — tak się mieć będzie do wykształcenia gimnazjalno-uniuersyteckiego, — jak się ma dekoracyjne malarstwo, ujmujące cały horyzont w kilku zasadniczych linjach do malarstwa realistycznego, które wyrabia każdy listek na drzewie, każdy włoszek na głowie portretu.

Nauczyciel niczego nie będzie się od ucznia domagał — o nic dopy-

tywał — będzie mu tylko dawać olbrzymi materiał poznawczy, w czytaniach, opowiadaniach i pokazach nade-wszystko.

Wszystkie nauki opisowe, reprezentujące, wszystkie rzeczy i zjawiska widzialnego świata, ludzkiego i naturalnego — będą wyciśnięte, jak cytryny i treść ich podana w tem, co jest w nich najcharakterystyczniejsze, najbarwniejsze i najogólniejsze. — Umysł ucznia zatrzyma z tego mniej lub więcej — zależnie od recepcyjnej jego potencji. — Odbije zaś na jego mentalnej kliszy widziana *à vol d'oiseau* panorama świata zastosowana do wymiarów duszy.

Jest to idealne wykształcenie dla kobiet, dla artystów — i dla prostego człowieka. Szkoła syntetyczna niższa będzie opowiadać świat widzialny: nauki opisowe — będzie to na wielką skalę *nauka o rzeczach* — syntetyczna wyższa doda do tego streszczenie z kilku nauk oderwanych, ale do niej dopuszczone będą tylko zdolności wyższe.

Sztuka będzie traktowana na równi z nauką, ale sztuka nie czynna — lecz bierna. Szkoła postawi przed sobą zadanie przygotowywania nie twórców i wirtuozów, lecz odbiorców, receptorja psychiczne sztuki.

Przez opatrzenie się i osłuchanie wspierane wskazówkami rozwijać będzie w uczniach znanstwo, gust, zrozumienie każdej sztuki i rozmiłowanie się w niej. Sztuka wykonawcza będzie udzielana tylko wyjątkom.

Każdy artysta i każda kobieta ma przecucie tej szkoły i jej *potrzebę*, którą zaspakaja na drodze samouctwa najczęściej, wpadając intuicyjnie na system narzucony tu przezemnie w wielkim, ogólnym konturze. — Tylko tego rodzaju wykształcenie może rozwinąć całą potęgę inteligencji intuicyjnej.

Stąd pochodzą te dziwolagi kobiecego studjowania Bóg wie ilu naraz przedmiotów, pochwytyanych na prawo i na lewo... Chce ona zadowolnić tendencję swego umysłu: ku wszystkości, ku najogólniejszemu. Szczegół ją nudzi i odstręcza — tak cierpliwa w robotach ręcznych, nie ma cierpliwości do naukowych szczegółów! Inteligencja intuicyjna nie chce i nie umie badać, zgłębiać, dociekać — ona chce latać... potrzebuje więc olbrzymiego pola doświadczeń, spostrzeżeń, wiadomości, obrazów, aby więcej znając, lepiej wszystko *przeniknąć* i *przewidzieć*.

Zanim ta szkoła zostanie stworzoną, surogat jej może każdy stworzyć dla siebie: jest to swój własny pokój zamknięty, jasna lampa, papier, ołówek i książki. Cisza i skupienie.

(c. d. n.)



Z CYKLU „SYLWETKI“

Zofja Stankiewiczówna i Eugenia Waśniewska

Zaproszenie na otwarcie wystawy w salonie Arcta. Obrazy Zofji Stankiewiczówny i... Eugenjii Waśniewskiej.

Tak. Nie mylą mnie oczy: Eugenjii Waśniewskiej, znanej działaczki społecznej, znanej pionierki ruchu kobiecego, członka niezliczonej ilości zarządów i... jednej z niewielu naszych dostojniczek w hierarchji zawodowej: prokurenta i kierowniczkii działu handlowego, w którymś z wielkich polskich towarzystw akcyjnych.

Samodzielna praca zarobkowa od lat najmłodszych, przewodniczenie na przeróżnych zjazdach i wiecach publicznych. Zkąd nagle malarstwo?

Sto razy zasiadałyśmy w różnych sekcjach; sto razy wracało się z nich późnym wieczorem. Nigdy nie było mowy o zamiłowaniu E. Waśniewskiej do malarstwa. Wtem wystawa jej prac...

W przemiłym salonie Arcta rojno. Malarze i społecznicy. Honory domu robią obie artystki.

Z. Stankiewiczówna.. nasza znana. Kto nie kocha się w jej cudnych sosnach i zadumanych gruszkach polnych, w jej Potokach i Brzaskach srebrzystych, w jej kamiennych schodkach i Kolumnie Zygmunta? Kto nie marzył o zdobyciu na własność przepięknego Kamieńca i Łanów zboża i widoków tatrzańskich?.. Wszystko to znamy. Kochamy te Teki warszawskie i wileńskie.

Czy można wyobrazić sobie życie ostatnich lat 35 bez Z. Stankiewiczówny?.. Taka prawdziwie *nasza*.. Jak Prus, Or-Ot, Gomulicki, zrosła się z każdym kamieniem Starej Warszawy, z każdym murem w ciasnych uliczkach Powiśla, każdym gmachem z czasów „króla Stasia“.

Laureatka konkursu im. Grohmana (I-sza nagroda za „Plac Zamkowy“) i Salonu Sztuk Pięknych, (Katedra na Wawelu), (I-sza nagroda za rysunki węglem „Nasze Drzewa“), obdarzona srebrnym medalem na dużej wystawie lwowskiej za obraz „Przy Ognisku“, wystawiała prace swoje graficzne w Wenecji, Paryżu, Londynie, Hadze, Brukselli, Chrystjanji, Sztokholmie, Kopenhadze, Helsingforsie, Rewlu, wszędzie witana przez prasę entuzjastycznie, wszędzie jak najlepsze krytyki mająca za sobą. Tylko w kraju, choć taka znana i tak bardzo kochana, najmniej o niej pisano...

Urodzona w majątku dziadków swoich na Polesiu Kijowskim, przyniosła z sobą ten szeroki duch kresowy, który szedł za nią w każdym jej poczynaniu.

W dzieciństwie walczyły o nią dwa genjusze; muzyki i malarstwa. Skrzypce czy pędzel?.. Przeważało to

ostatnie. Tak chciał oiciec jej, który budził zamiłowanie do sztuki plastycznej w córkach swoich.

Profesor uniwersytetu charkowskiego (wypadki 1863 r. zamknęły mu dostęp do katedry kijowskiej) nie chciał wychowywać dzieci w obcym środowisku. Wysłał rodzinę do Warszawy, gdzie całe dwa lata przebyła p. Zofja w szkole Gersona. Później—Paryż. Trzy lata w Akademji Julien, a pod kierunkiem słynnego Roberta Fleury. I tam—pierwsza w życiu nagroda: medal srebrny na konkursie na którym rok później taki sam medal otrzymała Anna Bilińska.

Cztery nasze wielkie malarki prawie równocześnie w Paryżu, bo prócz Stankiewiczówny i Bilińskiej—M. Kloss-Kazanowska i Marja Dulebianka.

Nie żyją już trzy ostatnie, ale pamięć o nich została w sercu zawsze wiernem i oddanem tym, z którymi los ją połączył. Napisać wspomnienia o nich, zamknąć w nich godzinę wspólnych przemyśleń, wspólnych walk i porywów — marzy o tem ta jedna, która została.

Czy napisze?..

Po śmierci ojca Z. Stankiewiczówna musiała wrócić do kraju z tem jedynym jego wskazaniem, że „kto czego bardzo chce, może dużo“.

Pracowała już odtąd samodzielnie, robiła studia z natury i zaczęła wkrótce wystawiać. Porwał ją przymtem wir pracy społecznej. Stawała przy każdym wyłomie, była z tymi, co wykuwali w podziemiach wolną Polskę, w każdym gmachu dobra narodowego znalazła się jej cegiełka.

A w sposób przedziwny umiała łączyć zawsze sztukę z twardą robotą „w imię altruizmu“. Nigdy orka społeczna nie zabiła w niej wielkiej artystki. Zdrowy, tęgi umysł i czysta, nie stargana zwątpieniem dusza... Potęga uczucia i marzycielskie skupienie w obrazach tylko; w życiu—raczej szorstka rubasność i pozorne jakby lekceważenie wszystkiego, wszystkich.

Nasza panna Zofja!..

Wychowała całe grono adeptek sztuki, które nauczyła patrzeć oczyma duszy na zjawę konkretną i wy-czuwać ją.

Z E. Waśniewską zbliżyły się na polu ruchu kobiecego, którego Stankiewiczówna była zawsze gorącą ordowniczką. Najcisłej złączyła je wszakże wspólna praca w Komitecie organizacyjnym wystawą kobiet polskich w Pradze czeskiej 1912 r.

Z. Stankiewiczówna zaczęła uczyć Waśniewską i zbudziła zatajone w duszy jej marzenia o malarstwie, które niegdyś za lat dziecinnych, rozwijał w niej oiciec architekt.

Wychowana w atmosferze sztuki, dziad jej bowiem skończył szkołę sztuk pięknych w Krakowie, a w rodzinie ojca było dużo talentów,—E. Waśniewska miała kształcić się w tym kierunku. Los zrządził inaczej. Straciła bardzo wcześnie ojca i musiała oddać się pracy zarobkowej na siebie i rodzinę.

A miała zaledwie 15 lat, gdy już z odznaczeniem skończyła gimnazjum w Płocku.

Był to okres szału apuchtinowskiego. Zbiry moskiewskie czekały na każdy narodowy odruch polskiego dziecka, żeby je poddać kaźniom i zniewagom. Mimo to jednak w wyższych klasach żeńskiego gimnazjum w Płocku powstało pod kierunkiem Marji Markowskiej, znanej poetki, pierwsze kółko samokształcenia, które—jakby na urągowisko—zbierało się w domu, gdzie mieszkał dyrektor tegoż gimnazjum, najzacieklejszy pola-kożerca Stefanowicz. Studjowano historję i literaturę Polski, tworzone własną bibliotekę, podtrzymywano ducha narodowego i przygotowywano się do pracy nad wyzwoleniem Polski.

Tu więc dorastająca dziewczynka wchłoneła w siebie pierwszą zarodź społeczną porywów; tu — pod bokiem wroga — zaczęła rozumieć obowiązki, ciężące na każdym polaku, pragnącym zrzucić z siebie pęta niewoli.

Przedewszystkiem zdobyć mocne podstawy bytu materialnego, gdyż to tylko daje niezależność i swobodę ruchom.

Wchodziło się wówczas w okres twardej pracy organicznej, kiedy naród po klęsce 63 r. musiał wyrzec się na jakiś czas irredenty i skupić wszystkie siły swoje w gospodarzem dźwiganu kraju, żeby kiedyś—gdy przyjdzie godzina — mieć zaco bronić go. Wszyscy byli wtedy, jak biali murzyni. Orka od świtu do nocy. Cwierć doby dla zarobku, pół lub więcej dla jawnej i podziemnej roboty społecznej, krótka chwila wypoczynku.

I stanęła wolna Polska. I zostali w niej ludzie zahartowani jak stal, twardzi, niezłomni, którzy pozwolili sobie na zbytek sztuki wówczas dopiero, gdy można było wyjść z podziemi

Czy E. Waśniewska byłaby oddała się sztuce jeszcze dziesięć lat temu, gdy tyle pilnych, ważnych rzeczy było do zrobienia?—Czy bylibyśmy poznali jej śliczne „Martwe natury“ i bardzo nastrojowe wnętrza katedr, klasztorów i tajemniczą „Madonnę“ i widoki Piasekowej Skały, Raguzy, Wenecji?

Może w chwilach wolnych byłaby malowała dalej pod dorywczym kierunkiem przyjaciółki swojej, może latem, jadąc dla wypoczynku, byłaby

brała płótno i sztalugi z sobą. Prawdłowo, jak dziś, nie uczęszczałyby do pracowni artysty-malarza Marczewskiego, zasięgając jego rad i wskazówek. a przedewszystkiem — nie dążyłyby do stworzenia własnej wystawy.

Ktoby myślał o tem, gdy kraj był w łańcuchach i gdy spętany gladiator własnymi zębami przegryzać musiał krwawiące więzy?

Mówią o kobiecej słabości, a sile hartu męskiego.

24)

MAŁŻEŃSTWO ZYGMUNTA KIETLICZA

M. D O M A Ń S K A

P o w i e ś ć

(Ciąg dalszy)

— Przyjaciółom moim — poświęcam

— Wyjedziesz z panną Anką do Zakopanego, tam odnajdziesz siebie,
— O! gdybyż sił więcej... szepnął z bezradną rozpaczą.

Weszła pielęgnarka, niosąc podwieczorek. Zaleciła bezwzględny odpoczynek choremu. Zygmunt odszedł od niego, usiadł na otwartym oknie i palił papierosa, starannie wypuszczając dym przez okno, Panowała w około słoneczna cisza popołudniowa: młode pędy sosen i roztopiona w słońcu żywica rozkosznie woniały w nagrzanym powietrzu. Zygmuntowi przypomniawszy się sosnowy las w Helu, miłosny gorący okres — przeżyty z Halszką nad morzem i ten pierwszy zgrzyt, którego starali się nie wywoływać więcej, a który istniał przecie zawsze, utajony na dnie zmaconej harmonji ich życia

Kietlicz przeżywał okres rozterki wewnętrznej, co drażniło szalenie jego rozmiłowanie w prostocie i sile ducha. Pierwszy raz w życiu, widział się wplątany w stosunek, nad którym nie panował i którego sam przed sobą uznać nie potrafił. Brnął coraz dalej i gniewał się zato na siebie. Czuł że stawia na kartę spokój własnego ogniska — i co gorsze, spokój i dobre imię dziewczyny, którą całą duszą pragnąłby osłonić przed wszelkiem złem świata. Zdrowy jego rozsądek buntował się przeciw tej fałszywej i romantycznej przyjaźni z ponętą nad wyraz i rozkochaną dziewczyną, przyjaźni na pozór niewinnej, jak pierwszy flirt studenta z pensjonarką, a tętniącej na dnie gorącą krwią pożądania. Całą siłą trzymał zmysły swe na wodzy; rycerska jego natura oburzała się na myśl wyrządzenia najmniejszej krzywdy istocie, nieopatrznie i rzucającej mu pod nogi skarby młodego kochania. Jedynym logicznym krokiem byłoby zerwanie: ale za najłżejszą wzmianką o tem, z oczu Rysieńki wytryskiwały tak obfite, tak żalosne i bezbronne łzy, że rotmistrz natychmiast kapitulował. Wobec tych łez, czuł się absolutnie bezsilny. Musiał przytem dotrzymać danego niebacznemu przyrzeczenia; a że Kryśka przestrzegała pilnie jego spełnienia, naprawdę wszystkie niemal

Epoka Odrodzenia zostawiła nam przykłady czarnej przyziemnej pracy obok wzlotów najwyższych. Ale to były genjusze. W świecie naszych walk i trosk współczesnych, gdzie genjusz rozproszkowany się na trud zbiorowy lub na prometeizm niewiarogodnych wynalazków i gdzie skutkiem tego może być miejsce conajwyżej na wielkie talenty tylko, — twarda wola — przy darach wrodzo-

nych — stanowi głównie o możliwości wybicia się jednostek.

Czy wielu mężczyzn, możnaby dziś wskazać, którzy — poza pracą zarobkową na był własny i rodzin swoich, poza wielkiem poczuciem odpowiedzialności za pracę zawodową, do udoskonalenia której dążą wciąż przez samokształcenie, mieliby czas i siły na poważne oddanie się sztuce?

C. Walowska

wolne chwile spędzali razem. Zygmunt pocieszał się myślą, że przyjazd Halszki położy koniec temu nienormalnemu położeniu; ale w gruncie, sam dobrze nie wiedział, jaki ma być ten koniec. Nagłe usunięcie się wydało mu się środkiem za brutalnym. Postanowił wziąć urlop i wyjechać na czas dłuższy z Halszką, lub nawet bez niej, o ile zajmując ją nadewszystko sprawy — przykuwać ją będą do Warszawy. Liczył na to, że oddalenie i nieobecność nieznacznie rozerwą niespodziane węzły — w sposób najłagodniejszy. Jednocześnie czuł że mu szalony brak będzie drażniącego uroku tego stosunku, splątującego subtelnością, a przecie mocnymi nićmi. Dziwnie słodkim było przeświadczenie, że dla tej kobiety, uroczej i wolnej, przed którą stał świat otworem — on był własnie światem. Miłość swoją Ryśka umiała objawiać w sposób niezmiernie powabny: to wybuchała nagle niepohamowanym żarem słów pieszczących, spojrzeń bezpamiętnie oddanych, to osnuwała się cała czarującą przedzą tajemniczości i wstydlivosti dziewczęcej. Marzyć umiała do zapamiętania, siedząc cichutko obok Zygmunta i chłonąc w siebie szczęście obecności jego. To znów wpadała w wesołość błyskotliwą, iskrzącą się coraz nowymi, coraz wdzięczniejszemi pomysłami, Zdawało się, że szczęście na skrzydłach ją unosi, że radość przepelniająca jej duszę, wylewa się za brzegi jak napój z pucharu. Porywała Zygmunta, który śmiał się wskrzeszonym, dwudziestoletnim śmiechem. Ryśka z cudowną intuicją umiała wynaleść ładne ramy dla ich spotkań. Zasadniczo unikali ludzi i miejsc tłumnych, zbanalizowanych spacerów. Zygmunt dziwił się, że w przepelnionej, zbudowanej szczelnie — Warszawie wynaleść można zakątki pełne ciszy, słońca i uroku. Chodzili do Frascati, którego zieloność bujna, nieco zaniebdana, bezpretensjonalne miłe zakątki, stare drzewa — przypominały im charakter wiejskich ogrodów, wśród których się wychowali. Przesiadali w Pomologicznym ogrodzie, wśród szczęśliwej, wonnej ciszy kwitnących owocowych drzew. Spadające piałe

płatki kwiatowe snuły się w słonecznym powietrzu, ze słodką ociężałością, Ginał szum miasta: brzęczały pszczoły złoty swój hymn upojenia dniem dzisiejszym. Słabe podmuchy niosły jedyną na świecie woń grusz kwitnących, a gałęzie jabłoni, nad miarę obciążone cudnie zaróżowionem kwieciem, tworzyły skomplikowaną sieć na mocnym szafirze nieba. Nie spotykały znajomych: niczyje oczy ciekawe nie śledziły ich, nie szły za nimi dwuznaczne uśmiechy. Ginęli wśród obojętnego otoczenia.

Zygmunt zżymał ramionami — w chwilach samotnej rozwagi — na ten cały spóźniony romantyzm. Lecz w obecności Ryśki, zakłęcie czaru działało natychmiast — i zdawało mu się chwilami, że przeżywa pierwszą, prawdziwą wiosnę w życiu, że to jakiś dar losu, uiszczającego się z zapomnienia.

Gdy myślał o Halszce, opanowywały go niejasne wyrzuty sumienia, a zarazem nielogiczny, głuchy żal do niej. I czemuż go opuściła dla abstrakcyjnych swych celów? czemuż ognisko domowe uczyniła mu tak chłodnym — a sprawę ich miłości usuwała na jakiś dalszy plan życia? Były jednak kobiety — i to niepośledniej miary — dla których on zamykał widnokrąg życia, pomimo że nic nie dawał wzamian.

Zygmunt niecierpliwie wypalał jeden papieros po drugim. Nerwy jego rozigrane były do najwyższych granic. Zmęczyła go walka nieustanna ze sobą. I męczyła rozmowa z Jeśmanem, widok jego skruchy i poczucie winy, za którą płacił życiem. W duszy miał jakieś miejsce obolałe, przewrażliwione, które drażniło każde nawet przelotne dotknięcie.

Do pokoju wsunęła się cicho Anka. Rozszerzone żrenice pobiegły na jej spotkanie, przywitwały się ich oczy, zamieniając spojrzenie tak pełne oddania że Zygmunt poczuł tępe ukłucie zazdrości.

— Wiesz, Zygmunt — ze słabym uśmiechem przemówił Jeśman, — jeśli tylko żyć będę i doczekam się tego szczęścia, że Ankę ujrzę swoją żoną, to ja z nią, a ty z Halszką — po-

każemy jakimi winny być małżeństwa w odrodzonej Polsce.

Kietlicz cisnął przez okno niedopalony papieros, który zakreślił w ciemniejszym powietrzu mały łuk ognisty.

XV

— Dać papierosa! dać!

— Nie, nie dam! Nie do twarzy detynie z papierosem i z zapachem dymu, nie jest to w stylu. Nie znoszę dysharmonii!

— Ależ to pasuje do krótkich pukielków!

— Wcale, a wcale! Pukielki przypominają pazia ze średniowiecza— a nie żadne sprawy z rzeczy—moderne! A papieros w twych ustach—to zupełnie pajak na płatku kwiatowym. Przecie wiadomo że te usta są nadzwyczajne, bajkowe.

— Cóż do, nich pasuje?

Przechyliła głowę, patrząc mu w oczy rozteśnionym swym wzrokiem, podczas gdy cudne usteczka rozchyłały się kusząco na lśniących, wilgotnym blaskiem — ząbkach. Rozkoszne i wymowne, w tej chwili przypominały soczysty, winny purpurowy owoc dojrzwały i niesłychanie ponętny.

— Pasuje do nich... pocałunek, który pali i miażdży, a jednak nie uczyni szkody temu arcydziełu, odpowiedział, wpatrując się w nie wzrokiem płonącym.

Nastał moment ciszy jakby oczekujący. Serca były głośno, nierówno... Kietlicz westnął, odwrócił oczy — i drżącą ręką poniósł do ust papierosa, otaczając się chmurą dymu...

Siedzieli w głębi botanicznego ogrodu, dokąd Ryska zaciągnęła go

aby „upajać się bzami“. Istotnie kwitły wspaniale, wonią ich słodką i zawrotną, drażniącą wonią tęsknoty, przepojony był świetlisty wieczór, o blasku nie gasnącym.

— Niedobry! Sam to wciąż aż ginie w tym dymie! a mnie skosztować nie da swego narkotyku.

— Zginałbym bez niego. Jest moja deska zbawienia.

— A ja? Ja znikąd nie mam zbawienia — a żyję! Będziemy odtąd na równych prawach. Skonfiskuję tę broń...

Sięgnęła wdzięcznym ruchem do kieszonki frenchu, z której wychylała się papierośnica srebrna. Z nią razem — wychylił się list.

— Kobięce pismo... jakie oryginalne! Ach! poznaję! — spotykałam się z nim w Odrodzeniu i poznałabym je wszędzie! To od żony. I co pisze?

— Píše że przyjeżdża, — powiedział Kietlicz z nagłą determinacją, ciskając papierosa.

— Ach tak!.. I kiedy?..

— We wtorek.

— A więc, to już... koniec...

Twarzyczka, pełna tklivych uśmiechów i słodkich blasków, ścięła się jakby do wewnętrznego mrozu, pobladła. Oczy stały się czarne i spoglądały przed siebie nieruchomo. Ruchliwe usta zwarły się w linię sztywną, figlarne kąciki opadły w dół z wyrazem niewysłowionej goryczy. Była to teraz maska kobiety dojrzalej, cierpiącej głęboko. Przeobrażenie tak nagłe — że aż tragiczne. Nie zwracała się do Kietlicza. W milczeniu wpatrywała się w jakieś widmo, które stało przed nią.

A nim — na widok tego skamieniałego bólu — zatargał żal nie do zniesienia. Zerwała się w nim burza buntu i protestu. W imię czego ma cierpieć to dziecko, uroczę i słodkie, bezpamiętnie mu oddane? Dlaczego ma być koniec temu, co wplotło się w jego istnienie żywymi, drgającymi fibrami? W imię jakiej katońskiej i bezdusznej cnoty ma tratować kwiat cudny, wyrosły na swej drodze, niespodziany dar losu? Halszka? Czy ona istotnie dba o niego, niezachwianie idąc swą drogą, odrzucając dumnie wszelkie ustępstwa i kompromisy, ogarniając poza nim całe widnokreśli? — Przecie dla tem większej spójni z Halszką — poświęcił okrutnie — bezcenną miłość Dory: czy po raz drugi ma niemilosierdzie deptać rwące się ku niemu serce kobiece? — Wszystkie te pytania dręczyły go od chwili otrzymania listu żony, i nie dały mu zasnąć noc całą. Rozigrały się w nim wszystkie nerwy żalem i pragnieniem: wobec widma rozstania poczuł jak drogą mu się stała ta dziewczyna, kwiat z rodzinnych jego stron, wcielenie kobiecej ponęty.

Ona widocznie przełamała się w sobie — i opanowała. Zwróciła ku Zygmunutowi twarz nie oświetloną uśmiechem i przez to odrazu starszą, skupioną w sobie. Ze słodką rezygnacją powiedziała:

— Przeżyłam piękny sen — pora się zbudzić, To trudno! tak już być musi. Com wzięła to moje: to skarb dla wspomnień. I co ja znaczę w pana życiu? Taka ze mnie nikła kruższyna, która potrafi jedno — kochać..

(c. d. n.)

MARJA DĄBROWSKA

D Z I K I E Z I E L E N O W E L A

(D o k o Ń c z e n i e)

Bo tu niech sobie nie myśli, że ją który weźmie nie że wianek utraciła ale że wzgardziła tutejszemi chłopakami dla tego ogranicznika, dla tego przybysza z pod Galicji, dla tego pana na pięciu prętach, „gospodarza“ psiajuchy — Niech ma, niechże się nażre tej ziemi, tego kieleckiego dziedzictwa.

Gdy ją któregoś dnia obskoczyli i poważyli się to mówić, zezwała nastpników, wołając, że ich ma za nic wsiech, że ich z pod pięty wytrzasła, że wołała by „z kim drugim“ wianek na ostatniemu wyrku, na gnoju stracić, niż z którym z nich w jedwabiach i przy ołtarzu.

Lecz niemo było najgorsze. Nocę były najgorsze.

W niziuteńkiej chałupie leżała wespół z matką popod samą powalą i patrzyła w płateczek okna, z nocą gwiaździstą i milczącą, rozpostartą od mętnych szybek aż popod Kielce i dalej.

Wtedy w ciszy dzwoniła złowrogo nieobecność kochanka, serce mdlało ze strachu i niepewności, sny przera-

żające przyśniwały się w krótkich drzemkach, rozp czliwe prośby do Boga łukły się złamanymi skrzydłami pośród czarnych świętych nad łóżkiem.

Jeszcze bardziej upadła na duchu, gdy odjechali bandosy. Jakby Słupecki bardziej do nich miał tu wracać niż do niej.

Lecz oczywiście do niej wrócił, Marynka chodziła czerwona i promienista ze szczęścia, że nie dosięgnął ją żaden cios. Poraz pierwszy od czasu swego zakochania zaczęła sobie nawet śpiewać, kończąc gorącym słowem:

A już mi go nie zganicie

bo go kocham nad swe życie.

Lecz wtedy właśnie dosięgnął ją cios.

Słupecki przywiózł i pozwolenie i papiery i na zapowiedzie już dali. Ale cóż stąd, kiedy jej pieśni słuchał jak nie ten sam, oziębły i milczący.

— Może mu markoto, że został w obcy stronie sam bez swoich?

— Nie.

— No to co?

Okropnie go prosiła żeby wyznał czem się utrapia, tedy powiedział, że niczem. Bo było tak. Tam w domu mieli dla niego jedną dziewczynę, bogatą, jedynaczkę na sześciu morgach. Wszystko już było umówione, aż tu on przyjeżdża, że się umówił z drugą na robocie w Kaliskiem, taki świat — ojciec nie chcieli słyszeć.

Musiał się tam ze wszystkimi porzeć, ale i tak by nic nie sprawił, żeby nie ksiądz. Ksiądz mu pomógł, bo powiada, *dziecko tam będzie miało*.

Słupecki chełpił się, że wszystko dla tej Marynuchy zwyciężył, lecz gdy niepewna, łowiła jego rękę — rzekł twar do, wyprzedzając ją niechętnie.

— Przez te głupio miłość, postradałem los, *Bo nos jest szyścioro na dwie morgi gruntu*.

Szli wtedy z roboty przez dworski ogród, więdący w płowym zmroku.

Powietrze było mokre i było cicho, Liście zsuwały się z drzew i mlaszcząc padały na trawę, jak pocałunki.

Marynka szła przy boku okrutnego kochanka zdyszana i spocona ze zmęczenia.

Dławiąc się spytała, czyby się chciał z nią żenić, z tamtą dziewczyną.

— A juści — a coś ty myślała — nie hamował się już wcale.

Więc jeszcze pocichutku — czy ona ładna, ta dziewczyna.

— Ładna,

Wtedy Marynka strasznie, okropnie zapłakała.

Łapała go za nogi, aż się zląkł, aż się strasznie zawstydził, aż ją do siebie przycisnął, i na piersiach swoich przed własną złością obronił, a nakoniec pociągnąwszy w zasy liści rozkoszą w smutku pocieszył.

Oczywiście wszystko zostało przebaczone, wszystko zostało zapomniane.

Lecz nie zostało zapomniane i sercu fałszywie się tak zdawało.

Wesele przerwało bieg tych uczuć.

W jego hulaszczących skokach zapomniano krzywd i ludzkich obrazy.

W dnie ulewnego deszczu i jesiennej wichury przetoczyło się nad wsią ze swym febrycznym czadem wódki i rozpasania, z uroczystym obrzędem i sprośnymi żartami, z pieśnią „Veni Creator Spiritus“ i z pieśnią „O chmielu, chmielu“ w stroikach i pazłótkach, w spazmatycznej melodji skrzypiec, w huku bębna, bijącym jak rozpalone puls, które chcą pęknąć i trysnąć krwią.

Po ślubie czuli się źle w tej komorniczej izbeczce razem z matką.

Słupecki był dość mężny, żeby nie zaczynać, lecz myśl bolesna błędziła mu po twarzy.

Marynka sama poddała, żeby się gdzie zgodzić od kwietnia na ordynarję — wiedząc że on tę myśl odrzuci.

Tak też zrobił, mówiąc, że jeszcze żaden ordynariusz nie dorobił się sześciu morgów gruntu.

Wtedy rzekła:

— Drudzy się dorabiają.

— Ale gdzie, ale gdzie? przymuszała ją błagalnie.

— W Prusach, albo gdzie, wyszeptwała jak, chciał.

W porywie natchnienia, całując ją gorąco wytłomaczył, że tak być musi.

Będzie chodził co roku do Prus aż nabiera tyle, żeby kupić grunt, tak jak to zrobił Dąbek z Pokłękowa. Też to samo kobieta została w domu z dziećmi, a teraz są szczęśliwi.

Niepohamowanymi słowami roztoczył przed nią obrazy, któremi upiła się także.

Dom wyrastał przed ich oczami — a w domu prawdziwy zegar będzie im dzwonił godziny na bielonej ścianie.

— Będziemy ta mieli ciepło.

Ogród i pole będą mieli także. I dzieci — nie jedno, nie dwoje, a dużo — Może konia jednego, a może dwa.

Marzenia rozpalające krew nie gorzej od miłości zbliżyły ich ciasno do siebie.

Lecz oman przeszedł i Marynka cierpła z obawy. Myślała, że się zwlecze do wiosny, że póki co, będą robić na folwarku, w nędzy ale razem — Lecz się nie zwlekło.

Słupecki żył jakoś cierpko, myślami już po świecie. Dokądś chodził, zmaśniał się, pokazywał listy, oferty, półpaski, zapisane świstki — Nakoniec oznajmił jej godzinę swojego odjazdu pociągiem, idącym z Kalisza za kordon „do Prus“.

Dzień rozłąki nadszedł zwyczajnie i pogodnie. Poszła z nim razem aż do miasta, niosąc toboły, jako prawa żona.

Na dworze koło parku spadłe liście jeszcze nie były kruche, leżały warstwa na warstwie mokremi żółtymi deszeniami. Z ich obrusa złotego występowały drzewa zielone z mchu i czarne z wilgoci jak czarny plusz — rozrzucając po niebie gałęzie lekkie i puste, pełne bolesnego szczękania kawek, brzmiącego jak luźny zgiełek łańcuchów.

Przy szosie w przestronnym polu, ziemia na kopcach z ziemniakami lśniła jak tłusta śmietana, pnącza jeżyn, głogi skrwawione jagodami, drapieżne i kolczaste plątały się nad rowem.

Słupecki szedł prędko, wbijał w drogę nogi jak haki, gwałtowny i zgorączkowany, pochłonięty szalem wędrowki, poszukujący losu.

Bał się, że nieprzewidziane wypadki nagle mu w zamiarach przeskoczą, że wszystko się przeciw niemu obróci, Marynka nadażała boso i cicho, z kamieniem w gardle, z nadzieją przyczajoną, że może stanie się coś, co ich zatrzyma. Chciała, żeby spoczęli, żeby ją jeszcze raz pokochał. Może tym razem nie miałyby siły wstać z uścisków i odejść tak daleko. Lecz oto złowieszczę miasto zaczęło płasnąć fjołkowemi wieżami kościołów na mglistym widnokregu. Skory październikowy zmrok przyciemnił wszystko. Światła wypłynęły z jego popielatych mgieł ostre światła, jak śmiertelne pociski.

— Nie zabocz mnie — zawołała Marynka.

— Coś ty, wykrzyknął, coś ty.

Tory kolei przerznięły drogę.

Druty świstały w dal niezliczonymi pręgami w noc po niebie.

Lokomotywa manewrowała po stacji z hukiem wytłaczając parę. Wydało im się niemożliwe, aby na to wszystko można było zdążyć — aby to mogło na nich poczekać, aby mogło wogóle coś udać się przyłitym roztrząśnionym w mrokach kamiennym, żelaznym hałasie. Pchnęli się — Pogubili toboły. Przybiegli do niewłaściwej kasy — To tu nie. Do drugiej! Myśleli, że to ostatni moment, lecz gdy się Słupecki umieścił już w pociągu, stali jeszcze pół godziny, i żandarmi obchodzili wagony.

— Ostań z Bogiem.

— Wróć.

— Miałbym nie wracać! Chowajże mi to dziecko — Będziemy mieli dom, Maryś ulubiona.

— Jasiuchna.

Nic już się niedało powiedzieć.

Pojechał, ani się obejrzał — i oto błąka się sama. — Jak prędko się zapadło miasto błyskające. Jak cicho zrobiło na świecie wśród zimnych nocnych pól.

Na karteczkę niosła zapisaną nazwę tego miasta, dokąd go jacyś zwabili, i gdzie miał pracować w kopalni, Katowice.

— O prawe Katowice, powtarzała, zjadając słone łyzy, płynące po twarzy.

Została pozbawiona wszelkiego sposobu zrozumienia po co jest dzień, noc, pocco się życie w człowieczym sercu kołacze.

Wszystko pobudzało smutek, wszystko potęgowało żal — proste codzienne sprawy wzniewały nowe łyzy.

* * *

Aż dnia pewnego wszystko się w ciągłym płaczu wyplakało, cisza zasiała w sercu, a rzeczy powszednie jak wprzódy rozjuszały boleść, tak teraz zaczęły ją koić.

Oto buraki wiozą na cukrownię. Oto w sadzie zbierają ostatnie jabłka. Oto spichrz wiejnik niebieski terkocze w zatokach zboża, pod świerkającym od róblu poddaszem, a lotne tańczą wśród szarej pajęczyny.

Wróciła ze spichrza sfatygowana.

Stacja matki była tak mała i tak ciepła.

Drzwiczki pod blachę otwarte i ogień błędził płomiennymi blaskami przez szafirowe cienie.

Świerszcz za kominem dzwiewczał cierpliwą swą piosenkę — a matka drzemała na stołeczku z rękami w splotach różańca. Nad blachą grzyby suszyły się na sznurku, pachnące mocno, suszone śliwki „na święta“ wisiały w zgrzebnym woreczku — a pycha domu, trzy młode kaczkę cisnęły się do siebie w kącie pod oknem.

Czar innej potęgi, władającej ludzkimi sercami, potęgi domu i gospodarstwa odurzył Marynkę. Oto ogień, warzący strawę i darzący ciepłem te cztery wątle ściany — cudze — lecz nie cudze a swoje, bo serce matki w nich bije, bo dziecko w nie nadchodzi. Oto sprząty przy których bawiła się, gdy była mała, sprząty ciągnane tylekroć, na przewodnią niedziele w różne okolice, na wysokim, słuźebnym wozie. Oto ubogie zapasy, które matka gromadzi, kiedy zima nadchodzi — Tu wróci mąż, stąd wyjdą budować dom dla swych dzieci.

Matka się obudziła i rzekła.

— Narobiłaś się córuchno?

Marynka wejrzała w okienko, w blasku ognia purpurowe od lodowatej rosy.

— Gdzie mała, mama ten wielgi nóż? spytała.

— A na co ci?

— Bośta te kapuste na zagonku ostawili — a tu się jakby na mróz miało. Wezne te kapuste i wytne.

— Po nocy bydziesz ciąć?

— A kiej ta robić lo siebie jak nie po nocy.

— I te dziabke tyż dejta—to ty marchwi ukopie.

Wstydziła się że dotąd matce nie pomogła.

— Weź opałke — i przychodź — bo pyrki skrobie i zara poliwkę nastawiom.

Ostra noc: późno jesienna rozpościerała się czarną pogodą nad chałupami, a lekkie białe gwiazdy skrapiały ciemność.

Przez żółte okienka widać było ludzi, jak w zgryzocie, miłości i wy-

poczynku, pochylając się nad nędznym stołem, i w towarzystwie swych wielkich cieniów chodzą po izbach.

Przekroczywszy drogę Marynka zgieła się nad surowo pachnącą ziemią, i wylamując z pod noża zimne kule kapusty obierała je z pierwszych liści — a liście skrzypiały i trzeszczały jej w palcach. *Koniec.*

SPROSTOWANIE: W № 11 „Bluszczu” w noweli „Dzikie Ziele” w drugiej kolumnie 7 wiersz od góry brak zdania: SPAŁA TEŻ CIAĞLE.

G A B R Y E L K A R S K I

O ARCYDZIELE EDMUNDA ROSTANDA

...I tak zostanie coś, czem ja tam, w górze, Dzisiaj jeszcze... na pokoje wchodzący do Boga, Szeroko z błękitnego zmiotę gwiazdy proga. Coś niezmięte... Coś czyste... Coś wierne dla chwały.

Mimo was... się zostanie...

— mój pióropusz biały... *)

I

Nareszcie! Zamiast, z jednej strony przenudnej już pikantarij *ad usum* podstarzałych *bon-vivantów* którą nas tak wytrwale częstowano w nieskończonym tasiemcu zgrabnie preparowanych szufladkowych kombinacji geometrii małżeńskiej, z nieuchronnym łóżkiem jako głównym rekwizytem scenicznym i konfeksjonerem bielizny damskiej jako faktycznym głównym reżyserem, a z drugiej — zamiast odgrzewanego co jakiś czas („gwoli zacieśnienia nierozzerwalnych węzłów łączących dwa bratnie narody” ... i t. d.) popularnego melodramaciska „L'Aiglon” (przez co się autorowi iście niedźwiedzią oddawało przysługę) — nareszcie doczekaliśmy bliskiej już chwili wznowienia — po piętnaslu z górą lat — najpiękniejszego z utworów Edmunda Rostanda, a zarazem i jednego z najbardziej fascynujących dzieł dramaturgii nietylko francuskiej

lecz wręcz wszechświatowej: komedji bohaterskiej „Cyrano de Bergerac”.

Sztuka Rostanda w edycji książkowej osiągnęła na rynku francuskim rekord księgarski, bijąc pod tym względem najpoczytniejsze powieści najpoczytniejszych autorów, rozprzedana w ilości 200.000 egzemplarzy — jak notuje jeszcze w r. 1898 Włodzimierz Zagórski w przedmowie do swego przekładu; premiera zaś jej, w dniu 28 grudnia 1897 r. na scenie teatru de la porte S-t Martin z genialnym Coquelin (starszym) w roli tytułowej była datą epokową, datą wyjątkowego sukcesu dorównywającą w tym względzie, największym triumfom Wiktora Hugo, a dalsze przedstawienia gromadziły wciąż tłumy publiczności, której zachwytem wtórzyli wszyscy krytycy nie wyłączając lubującego się w operowaniu swym błyskotliwym skalpelem Lemaitre'a ani też osławionego przez swój *terre à terre'yzm* burżuazyjnego *homme de théâtre* Sarcey'a.

Ten tryumf (zwłaszcza teatralny) dzieła *poetyckiego* zasługuje na podkreślenie z naciskiem, jest bowiem zjawiskiem niesłychanie rzadkiem w całym świecie; sygnalizuje dzieło o licznych wszechstronnych walorach, dzieło *popularne* w najszlachetniej-

szem znaczeniu tego terminu, bo wraz zaspokajające najwybredniejsze gusty, jednym słowem dzieło bezwzględnie porywające. I to jest istotnie *le cas de „Cyrano de Bergerac”*.

„Sekretem” wartości tego dzieła jest oczywiście jedynie i poprostu talent autora. Sekretem powodzenia na rynku księgarskim jest arcydziełszy wybór fascynującego tematu i olśniewające mistrzostwem *werbalnym* obrobienie go. Lecz, jak to już zaznaczyliśmy, najbardziej znamienne jest tu tryumfalne przebycie próby kinkietów. Zwycięstwo to zawdzięcza Rostand nadwyzwyczajnemu wręcz poczuciu teatralności.

Gdyby jednak nie fakt ostatecznie decydujący, mianowicie to, że Edmund Rostand, tworząc swego „Cyrano” miał chwilę wyjątkowego natchnienia, dzięki któremu w tym momencie (i w tym jednym właśnie) okazał się *prawdziwym wielkim poetą*, to nigdyby nie obdarzył literatury takim utworem, który też bez wahania śmiem nazywać arcydziełem. W najlepszym razie mielibyśmy wówczas książkę pełną zgrabnych dźwięcznych wierszyków, miłych szczęśliwych „powiedzeń”, ale irytującą przez swą *mièvrerie*, oraz sztukę pełną efekto-

łomnych wręcz trudnościach jakimi jest najeżony fenomenalny fajerwerk wiersyfikacyjny Rostanda.

By nie być gołosłownym, pozwolę sobie zwrócić uwagę czytelników na takie momenty jak: ballada pojedynkowa, rozgłośna tyrada o nosie, opowiadanie Cyrana przerywane dociwkami Chrystjana, scena pod balkonem Roksany i wiersze o pocałunku, wreszcie tryolety o Gaskońskich Kadetach. Olbrzymie trudności nastęrczały również tłumaczom owe rozlewne i równocześnie tak lapidarne w ekspresji *boutades* Cyrana: odpowiedź na słowa Le Bret'a (w akcie II) przetykana słynnym „*Non merci!*” tudzież przemowa jego do Kadetów w obozie pod Arras, zakończona apostrofą: aby śmierć zastała bohatera:

„Na wielkim bojowisku, na chwały koberciu,

Z pięknym słówkiem na ustach i ze sztychem w sercu”.

Wszędzie w wymienionych momentach przekład Konopnickiej świetnie spełnia swe zadania, nawet zaś tam, gdzie — jak i w wyżej cytowanym dwuwierszu — oddanie literalnie wiernie licznych Rostandowskich kalamburów, jest niemożliwe, Konopnicka wykazuje niezwykłą intuicję i imponującą technikę w dobraniu i szarmonizowaniu odnośnych walorów zastępczych.

Tu, dla ścisłości, w jednym wypadku należy oddać sprawiedliwość i Kasprowiczowi:

mam na myśli zakończenie aktu II. Kasprowicz ujął je niewątpliwie najtrafniej. Moment spoliczkowania muszkietera przez Cyrana w oryginale przedstawiony jest w wierszu:

„Qu'est-ce que cela sent ici? — La giroflée!..”

Zagórski przekłada: „to:”

„Powiedz-że nam, co tutaj tak pachnie? □

— Pieprzycal..”

i w przypisku do swego przekładu tłumaczy tę niezbyt fortunną zamianę tem iż w braku odpowiedniejszego wyrazu tłumacz postawił „pieprzycę”, ażeby choć w przybliżeniu („dać komuś pieprzu”) zaznaczyć intencję autora.

Szczęśliwiej wybrnęła z trudów Konopnicka, pisząc:

„Ah, ah!.. Co tu tak pachnie? Czyżby to ów prztyczek?...

Pan to musiałeś zwęszyc?..

— To?... to czuć policzek”.

Ale wręcz kapitalnie przedstawia rzecz Kasprowicz:

„Waśc zwęszyl?... Powiedz wasze, cóż to za milutki jest zapach naokoło?

— Zapach?... Niezabudkil..”

*) Umieszczony jako motto do mego szkicu ten końcowy ustęp dzieła Rostanda cytuję w przekładzie Marji Konopnickiej. Jej też przekładem posilkuję się we wszystkich dalszych cytatach. Tłumaczenie Konopnickiej, o ile mi wiadomo, nie zostało dotychczas opublikowane w całości. W r. 1898 ukazał się polski przekład „Cyrano de Bergerac”, (jako bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Polskiej”), w którym tłumaczem pierwszego, drugiego i piątego aktu był Włodzimierz Zagórski, trzeciego zaś i czwartego — Konopnicka. Ze jednak niewątpliwie Konopnicka przełożyła może później cały utwór, wnosić można z faktu, iż w wydanych w r. 1902 „Trzech studjach”, z których pierwsze, pełne płomiennego entuzjazmu; poświęcone jest „komedji bohaterskiej Edmunda Rostanda”, znakomita poetka, dając nader plastyczne i dokładne streszczenie oraz głęboką analizę tego dzieła, ilustruje je szeregiem cytatów w jej własnej interpretacji, zaczerpniętych z każdego aktu kolejno.

W r. 1913 ogłosił przekład komedji Rostanda Jan Kasprowicz.

Z trzech wymienionych prac, moim zdaniem, wersji Konopnickiej przyznać należy bezwzględne pierwszeństwo. Przekład jej imponuje nadwyzwyczajnym polotem, rozmachem i kongenjalną z *pierwowzorem wiernością artystyczną*, podczas gdy bardzo zresztą doszczęcający się o ścisłość Zagórski oraz dosadnie, a czasem nawet nieco przesadnie, archaizujący Kasprowicz — nieraz załamują się na karko-

NASZE ŻYCIE

wych fajerwerków, lecz również irytującą z jednej strony przez „kawały“ i „bomby“ ciskane ku galerji pour épater le gros public, z drugiej zaś przez cliwe bezkrwiste „wstawki“ sentymentalizmu... Taką też jest rzeczywiście cała pozostała produkcja literacka Rostanda, zarówno poprzedzająca ową „komedię bohaterską“ jak też następująca po niej: jego wiersze zebrane w zbiorku „Les Mursardises“ (z którego zresztą niżej podpisany sam wybrał i przetłumaczył kilka „miłych“ poemacików *) oraz sztuki: „Les deux Pierrots“, „Les Romanesques“, „La Princesse lointaine“, „La Samaritaine“, „L'Aiglon“ i „Chantecler“... **)

Ale powtarzam „Cyrano“, arcytwór Rostanda, „la merveille“ jak nazwali go krytycy paryscy, jest niezaprzeczoną dowodem, że jego autor był prawdziwym poetą. Przeto też za niedźwiedzią przysługę uważam wystawianie co jakiś czas „z wielką pompą i paradą“ „Orlęcia“, gdy „Cyrano“ kilkanaście lat musiał czekać na wznowienie. Nie sposób mi też ukryć irytacji jakiej doznałem, czytając w nader nielicznych naszych dziennikach i perjodykach ledwie kilka zdawkowych wzmianek skreślonych na kolanie przez przygodnych reporterów — gdy w r. 1921 umarł Edmund Rostand. Poważni prawdziwi krytycy wogóle fakt ten przemilczeli. Skrobnał tylko piórem tu i owdzie jakiś „kronikarz od przejechańców“, strząsnął ze swej zardzewiałej stalówki kilka komunałów „o świeżo zmarłym niezbyt głębokim ale popularnym francuskim autorze“ — i koniec. Nie! doprawdy takie protekcjonalno-lekceważące pośmiertne poklepanie po ramieniu twórcy „Cyrano de Bergerac“ — to trochę zamało. ***) Przeto też, zanim przystąpię do krótkiej analizy jego jedyne „dzieła“, składam Mu na tem miejscu ten spóźniony hołd, hołd cieniem poety, jakiego w nim tak żywo odczuła nasza wielka poetka Marja Konopnicka, pisząc: ****)

„ Jest poetą, bo się odwrócił od popularytów i płytkości współczesnych popularnych tematów dramatycznych, od wiarołomstwa, od giełdy, od uwodzicielstwa, od różnych kombinacji, brudów i hysterji burżuazyjnego życia. Jest poetą, bo przez głowy bąbrzących się w tem lub innym bagienku sięgnął gdzieś w świeższe, czystsze widnokreśli, bo ich zapragnął, bo nie umiał oddychać tą mieszaniną woni alkowy, knajpy i szpitala, w której się większość współczesnych dramaturgów obraca; bo wkroczył śmiało w te czasy, kiedy poezja nie w księzkach tylko była, ale i w życiu także“.

(d. c. n.)

*) Michał-Gabryel Karski: „Tęcza“, Poznań 1921.

**) Gwoli ścisłości zaznaczam, że nie znam zupełnie ostatniego utworu Rostanda, niedokończonego i wydobytego z jego teki pośmiertnej p. t. „La dernière nuit de Don Juan“.

***) Nie są tu wyłączone drobne przeczenia i niescisłości z mej strony. Powodem tego jest brak polskiej bibliografji czasopisma.

****) Marja Konopnicka: „Trzy studia“, Warszawa, 1902 r.

Tradycji stało się zadość, po szaleństwach karnawałowych posypaliśmy głowy popiołem i przystąpiliśmy do pokutnego zadosyćczynienia poważnej sprawie życia, jaką są odczyty obfitsze w czasie wielkiego postu niż w innej porze roku.

Mówiąc „przystąpiliśmy“ wyrażę się jednak nie ściśle, uogólniając kwestję, właściwie bowiem ci co się bawili, czynią to w dalszym ciągu przedłużając na post tańczące wieczory, które pod nazwą „dancingów“ lub podwieczorków, są tylko zamaskowanymi balami. Jest to nowość powojenna, dotąd w Polsce nie praktykowana; przysłała razem z paskarstwem i grą giełdową. Bo otóż w ostatni wtorek do rana spać mi nie dała muzyka taneczna. Miejscowy sklepikarz, zatruwający fałszowanym mlekiem, oddaną w jego moc okolicę miasta, święcił w ten sposób swoje zyski karnawałowe i jako charakterystyczny szczegół dodać należy, że w ciągu ubiegłego roku odbywały się w jego mieszkaniu obrzędy pogrzebne po stracie żony i matki. Jest to karykaturalne, jak w wklęsłym zwierciadle ukazało się oblicze potwornie zmienione a jednak, w ogólnych rysach do wielu innych podobne.

Dlatego może wielka sala Muzeum nie zapełniła się po brzegi na świętym odczytaniu b. ministra sprawiedliwości, profesora uniwersytetu: świętego mówcy p. Wacława Makowskiego, który obrał za temat do swojej prelekcji aktualną a ważną sprawę stosunku obywatela do Rzeczypospolitej. Nasza Konstytucja uchwalona w d. 17 marca 1923 r. na naczelnem miejscu pomieściła te znamienne słowa: Polska jest republiką w której władza należy do narodu. Czy zdajemy sobie wszyscy dokładnie sprawę jak wielkie to wkłada na nas obowiązki, jak szerokie leżą przed nami zadania. Każdy z nas jest współtwórcą tak budowy państwa, jak jego dobrego rozwoju, każdy jest odpowiedzialny za jego losy. Chcąc uwypuklić tę odpowiedzialność prelegent dał swoim słuchaczom rys historyczno-prawny tworzenia się ustroju państwowego od początkowych jego stadjów aż do naszych czasów.

Niegdyś w dzieciństwie ludzkości, terytorjami przez rozmaite szczepy osiadłymi rządziły rody. One tworzyły prawa, one ustanawiały obyczaj miejscowy. Natura ludzka jest zawsze jednaką czy to dziś, czy w wiekach dawnych, czy pod tym czy innym stopniem szerokości geograficznej. Ambicja i chęć przewodzenia jednych nad drugimi łatwo bierze górę i rody zaczęły się też wadzić pomiędzy sobą, tak silną odgrywały rolę egoizm i osobiste interesy, że okazała się potrzeba opanowania ich dla dobra ogólnego.

To dało początek monarchji absolutnej. Człowiek który obejmował władzę miał zadanie nielada. Zaprowadzić musiał nad chaosem jaki się

wytworzył, zorganizować świat bogów i ludzi, bo i wierzenia zależały wtedy od indywidualistycznych poglądów, trzeba było dążyć do szerzenia jednego Boga. Jak widzimy więc rządy absolutne miały poważne zadania do spełniania i w wielu dziedzinach dużo dokazały, nie uwzględniły one wszakże jednej wielkiej potęgi: siły twórczej człowieka. „Poddany“ za czasów rządów absolutnych spał snem kwietyzmu, ktoś stojący po nad nim spełniał trud kierowniczy, jednostki słabsze ulegały temu definitywnie, mocniejsze, litując się, wykonywały powoli nową formę życia, którą jest ustrój republikański. Ten cały dotychczasowy porządek odwraca się, odpowiedzialność za losy państwa i całego narodu spada na wszystkich współobywateli.

I tu prof. Makowski szuka przyczyn, dlaczego w Polsce odrodzonej pomimo, że dała ona sobie samorzutnie republikańską formę rządu, tyle widzimy ustępstw od niej, takie niezrozumienie rządów obywatelskich. Oto dlatego, że utraciliśmy nasz byt polityczny w czasie rządów rodowych. Czemże bowiem był nie nasz ustrój w wieku 17 i 18-m jak ubieganiem się o władzę rodów magnackich, którym, do ich egoistycznych celów, pomagał gmin szlachecki? — Starła te rody monarchja absolutna ale obca i wroga, pod jej niszczącą władzą nie mogły się wyrabiać te wolne niezależne pierwiastki, które w innych krajach tworzyły Republiki, utrzymywało się natomiast, dłużej niż gdzieindziej poczucie poddaństwa a równocześnie niechęć do jakiegokolwiek władzy.

Musimy dopiero wyrobić w Polsce typ wolnego obywatela, pełnego odpowiedzialności za losy ojczyzny, które są w jego ręku. Co więcej, każdy z nas wiedzieć powinien, że w podobnej części, zależą także od niego losy świata. Żaden naród nie może żyć w odosobnieniu, nastaly czasy wielkiej kooperacji ludów. Postępy udoskonalenia stosunków, wrowadzenie do nich sprawiedliwości i prawa, są dziś sprawą wspólną a dobre i szlachetne porywy tak jednostek, jak narodów wstęp ten przyspieszają, gdy równocześnie sobkostwo i niedoleństwo go opóźniają. Prof. Makowski zakończył swój piękny odczyt wyrazem otuchy, że Polska stworzywszy, w tak krótkim czasie państwo prawie z niczego, w obec braku środków i pomocy zewnątrz, wykazała, że jest niewyczerpanym zbiornikiem twórczej energii i to nie tylko współpracować z innymi narodami potrafi, ale je jeszcze, w wielu razach, przewyższyć może. Trzeba nam tylko, dodaje prelegent „zbudzić w swojej duszy instynkt społeczny, ambicję obywatelską i zrozumienie co jest kooperacja republikańska, a wtedy wtedy utworzymy z piersi naszych mur dla polskiej, Rzeczypospolitej“.

Prawdziwem, posypaniem głów popiołem pokutniczym były obrady Ligi obrony praw człowieka i obywatela, nad panoszącą się u nas straszłą chorobą, bezkarnego szarpania czci ludzkiej i rzucania na bliźnich bezpodstawnych oskarżeń. Kilku mówców, w sposób rzeczowy a szlachetny zastanawiało się nad tymi objawami nawoływało społeczeństwo do wydania im stanowczej walki. Niestety, nie jest to objaw odosobniony, któryby krzewił się tylko na nowym gruncie. Gdzie tylko istnieje życie polityczne, gdzie ludzie ambitni ubiegają się o wpływ i władzę tam wchodzi w grę oszczerstwo i wzajemne oskarżanie się o występki. U nas jednak przybiera to formy jaskrawsze niż gdzie indziej, gdyż życie polityczne rozwija się na gruncie niedostatecznie do tego przygotowanym. Gdy we Francji np. oskarżanie przeciwnika spotyka się z uśmiechem i wzruszeniem ramion u chłopca i robotnika wyrobionego już w państwie oświeconym i demokratycznym, uważane jest za dobrą monetę i przyjmowane „na wiarę opowiadającego”. Stąd zamęt pojęć i fałszywe pojmowanie stosunków.

Jakie rade być możemy, że mamy w „Bluszczu” kącik, gdzie sprawy ogólnie - ludzkie i krajowe, rozbiierać możemy bez jadu nienawiści i namiętności stronnicych; może to stąd wyjdzie światelko, które promieniować zacznie w nasze zabagnione stosunki.

I w innych społeczeństwach zaczynało się od małych, stosunkowo początków. W Anglii, przed wielu laty, zalała społeczeństwo tak brudna fala oszczerstw wzajemnych, że ludzie najniwi i bezstronni wprost żyć nie mogli w tej zatrutej atmosferze. Znaleźli jednak na to sposób. Zaczęli organizować związki i stowarzyszenia etyczne, do których nie mieli dostępu ci, co kiedykolwiek splamili się rzuconiem fałszywego oskarżenia na któregoś ze współobywateli. Zaczęto się ubiegać o wstęp do tych towarzystw a równocześnie wystrzegać się lekkomyślnych oskarżeń. Tego kto uzyskał wstęp do grona ludzi uczciwych, nazywano „gentelmanem”. I stąd ta nazwa pozostała i oznacza człowieka prawego i szlachetnego. Nadało to odrębną cechę całemu społeczeństwu angielskiemu, chlubiącemu się i słusznie, wykwiśniętym, pełnym godności towarzyskim obyczajem, i umiarem nawet w gorących walkach politycznych; czego dowiodło zgodne dopuszczenie przez konserwatystów i liberałów partii pracy do rządów kraju.

Na zakończenie dodać jeszcze muszę fakt pocieszający. Zrealizowanie daru narodowego dla prof. Skłodowskiej-Curie w postaci instytutu radiologicznego, zdaje się wchodzić w życie. Na zebraniu przedstawiciele sejm i senat i działacze społecznych jakie odbyło się w sali Dekerta w ratuszu, oznajmiono, że fundacja Benzelów, mająca jak wiemy, zadanie po-

pierania szlachetnej inicjatywy, daje na ten cel 16 miliardów, Marszałek Senatu złożył od siebie 100 milj., niewątpliwie dalsze fundusze się znajdują. Do komitetu wybrane zostały z kobiet p.p. Szebekówna, Puzynianka, i Mączkowska.

I. W. K.

WYSTAWA U BARYCZKÓW

Wystawę tę warto zobaczyć kilka razy.

Malarstwo flamandzko - holenderskie ma właściwość rzeczy cichych i poważnych: — wymaga zżycia się, zbliżenia, — wtedy odkrywa coraz głębsze swe wartości, pociąga i przywiązuje nie tylko oko, lecz przez oko trafia do tych strun duszy, które stanowią o istotnym stosunku człowieka do sztuki. Stajemy się wobec tych skromnych, ciemnowych w kolorycie obrazków *kontemplatorami*, pozbawionymi ubocznych nastrojów, intelektualizowania, moralizatorstwa; nie poszukujemy symbolów, nie rozwiązujemy rebusów ani zagadek; nikt nas tu nie poucza, nie drażni, nie przeciwstawia się niczemu i nikomu „Als-ik-kan” wan Dyckowskie zdaje się kierować artystami północy; malują tak, jak umieją, tak, jak mogą, — to, co widzą — bez uprzedzeń i prawie bez wyboru, z upodobania, z chęci utrwalenia umiłowanej przez się *rzeczywistości*, czy będzie ona człowiekiem, zwierzęciem, sprzętem, owocem czy też krajobrazem.

Są naprawdę tylko artystami, artystami z urodzenia. Takim jest genialny włóczęga: Adrian Brouwer (1606—1633), dający sceny karczemne i bijatyki chłopców a raczej lumpenproletariuszy flamandzkich, pełne groteski i odwiecznie „ludzkiego” grymasu złości, chytrości, małpiej pokraczności i sprytu; takim — Franciszek Snyder (1579—1657) i uczeń jego Jan Fyt (1611—1661) animalisci. Na płótnach, których walki zwierząt są pełne zaciekłości, rozpędu i ruchu, a barwy pierza czubiących się ptaków lśnią blaskami nie przyćmionymi przez kilka wieków, takim jest Vonck, dający pochwartowane świnię, czy Jan Davidszoon de Heem (1606—1684), którego winogrona, jabłka, wiśnie posiadają szczytność i kolor pierwowzoru — czy wreszcie ci inni, patrzący jak Hendrieks z upodobaniem złotnika na metale i klejnoty, odtwarzający skrupulatnie miedziane wazy z epoki odrodzenia, dzbany, misy i szkła, — wszyscy ci twórcy i pionierzy żywych i umarłych „natur” w malarstwie — umieją jedynie pokazać swój *malarski* stosunek do świata, dać echo tego głosu, którym rzeczywistość do nich przemawia.

Stąd zapewne wielki spokój, umiar, solidność tej sztuki i rzetelność prawdziwa. Nie szarlatanerii, ani efekciarstwa w martwych natu-

rach, w scenach rodzajowych i w krajobrazach tych mistrzów w XVII w.

Nie da się tego powiedzieć o historyczno - alegorycznych kompozycjach epigonów Rubensa. Paszukiwanie dekoracyjności, wspaniałości, rozmachu i ruchu doprowadziły niekiedy do przesady i teatralności, czego przykładem na obecnej wystawie jest obraz ze szkoły Rubensa, w którym zresztą lewa grupa posiada dużo zalet pod względem barwy.

Faktem jest jednak, że do tych kilku zalet w kamiennicy Baryczków, w których zgrupowano dosyć zresztą przygodnie kilkadziesiąt obrazów XVI i XVII w., powraca się ze wzrastającą przyjemnością. Jest tam *wielka sztuka*, pomimo, że nie zgromadzono tam arcydzieł.*) To, co jest, daje pojęcie o dawnych mistrzach północy z epoki po-van-Dyckowskiej i poleingowskiej, a więc późnego Odrodzenia, pochylającego się już ku Barokowi. Z najstarszych: szkoła, van Orley'a Łukasza z Leydy, Gerarda Davida — a wreszcie słynny Uneutin Metsys z doby przełomowej dla naturalizmu flamandzkiego — w nim bowiem już szlachetne rozmiłowanie się w rzeczywistości graniczy z pewną manierą i wirtuozostwem. Owa „Schyłkowość” Quentin Metsysa daje się do pewnego stopnia wyczuć w dwóch obrazach na obecnej wystawie: w Chrystusie błogosławiącym (szkoła Metsysa) i w „Lichwiarzach”, nie wiem, czy słusznie, przypisywanych artyście antwerpijskiemu.

Z „drobnych mistrzów” mamy Brouwera Teners'a von Ostade'a — sztukę demokratyczną, czerpiącą temat i typy z samego wnętrza wsi i miasteczek; tu zaliczę „Dianę” Golziusa z Haarlemu, w której świetnie są stylizowane postacie rybaka i baby. Mamy ciemne pełne nastroju krajobrazy, — konie Weumermana; scenę na lodzie a la Brueghel, a wreszcie — portrety malarzy holenderskich. Z tych kilka bardzo pięknych: Joosta portret Stan. Krasińskiego, wojewody płockiego; Pietera Nasona — młodzieniec o wielkiej wymowie oczu i smutnej, zamyślanej postaci, rzuconej na tło nieco fantastycznego krajobrazu i groźnych, posępnych chmur; dwa portrety wykoronowanych arystokratów Picconoy'a i szeroko po Tycjanowsku ujęty modlący się żyd.

Wan Skalkena trzy obrazki, dające próbę owietlającej twarzy blaskiem świecy, — próby rozwiązywania zagadnień, które tak bardzo pochłonięły Rembrandta. Jest też duży obraz, przedstawiający satyrę w gościnie u chłopca, temat tylekroć odtwarzany przez Jordaensa, lecz bez brawury w ruchu i kolorycie, który posiadał ten malarz.

*) Niema na wystawie Rubensa, ani Rembrandta, — Hals jest niepewny nie można było pokazać też precudnych prymitywów flamandzkich. Van Eycków, R. w. der Weydem von der Goen

Na trzecim piętrze mieści się kilkanaście szkiców — wśród nich Rembrandt, Ruisdach, Jan Brueghel, van Gojßen, van Ostade.

Wystawa malarstwa Niderlandzkiego którą oglądamy nie może kusić się o wytworzenie kompletnego pojęcia co do wagi jaką miała sztuka północy w dziejach artystycznych Europy — może natomiast zaznajomić nas z *charakterem* tej sztuki i poczęści z duszą narodu, który ją tworzył. Dano nam fragment jego kultury.

Ta sztuka wyraża postawę flamanda wobec życia; jego proste, bez pozy branie tego, co jest, jego widzenie rzeczy bezpretensjonalne, nieuprzedzone, wolne od upiększania i wygładzania. Flamański *stoi wśród życia*, w sercu rzeczy, bez patosu, tragizmu i marzenia, jest bardzo konkretny, a mistycyzm jego — gdy się zdarza, a zdarza się często, — jest nieświadomą (niechcianą) nadbudową, która wystrzela sama przez się i nie leży w programie artysty. Zresztą nie mają oni programu. Kochający życie w jego anatomicznych i fizjologicznych przejawach, nie dotykający się doń przez bibułkę i nie cedzący słówek — szczerze i otwarcie dają zarówno bydlęcość, i brzydotę, grymas, krew mięsiwa, trupy zwierząt, jak misterne tkaniny, cyzelowane misy i krucyfiksy.

„Im starszy, tem szaleńszy“ flamański dziwnie zbrał się z rzeczywistością i nie wychodzi poza nią świadomie. Sztuka jego nie jest górna, ani lotna, lecz stoi twardo na nogach i sięga czasem w głąb mroczną instyktu, miary, trwania ziemskości i ziemi.

W ojczyźnie flamanda, w jego miastach, domach mieszkaniach, fermach, — jest jakaś trwałość, siła, wyraz — i wszystko to stanowi specyficzne piękno tej brzydkiej a jednak pełnej stylu rasy. Być może, jest w tem ta niesłychana krzepkość, wynikająca z mocnego *wzicia* się w życie, z tego, że jest tak bardzo częścią przyrody, zwierzęciem ludzkim, rozumiejącem rozkosz życia na ziemi. Konkretna, prosta forma dla najbardziej mistycznych pomysłów (ołtarz Baranka); trzeźwe, wyrachowane spokojne życie w miłych „interieur“ach, a równocześnie zbiorowe męstwo, miłość żywiołu i ojczyzny, — mroczne katedry, przemysł dobrze rozwinięty, banki, cudnie utrzymane lasy, tajemnicze jeziora, śliczne domki z przyczółkami, koncerty dzwonów. Dziwna, bardzo dziwna jest dusza tego kraju.

Mroki i blaski jej pokazał Verhaeren.

N. Samotychnowa.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

RUCH FEMINISTYCZNY W CHINACH

„Public Lodger“, pismo wychodzące w Ameryce, podaje interesujące szczegóły o ruchu feministycznym w Chinach, które przytaczamy.

„Ruch feministyczny“ w Chinach rozwija się ostatnimi czasy bardzo silnie, tak iż śmiało powiedzieć można, że niema bodaj takiego pola pracy intelektualnej i społecznej, na którym Chinki nie starałyby się dotrzymać placu swym mężom i braciom.

Przy pomyślnym rozwoju tego młodego, a jednak tak już żywotnego ruchu, dotkliwie dawał się uczuć brak specjalnego pisma, poświęconego sprawom kobiecym. Grono zatem wybitnych bojowniczek tego ruchu postanowiło przystąpić do wydawania pisma codziennego przeznaczonego dla kobiet. W tym celu odbyło się najprzód kilka zebrań publicznych i wieców, na których omawiana była konieczność powstania takiego dziennika, oraz przeprowadzana agitacja za największą ilością prenumeratorek. Zapewniwszy już sobie dostateczne poparcie kobiet chińskich, przystąpiono do zbierania funduszków dla zapoczątkowania wydawnictwa.

Pismo to, przy którym zgrupować się mają najwybitniejsze siły kobiece Niebieskiego Imperjum, poświęcone będzie przede wszystkim sprawom powszechnego równouprawnienia kobiet oraz agitacji otwieraniem jak najliczniejszych szkół nowoczesnych gospodarstwa domowego dla kobiet.

PRZYKŁAD GODNY NAŚLADOWANIA

W fabrykach wyrobów tytoniowych na wyspie Kubie istnieje doskonały zwyczaj, zaprowadzony przez same robotnice, głośnego czytania podczas pracy. Ktokolwiek zwiedzał słynne fabryki cygar w Havannie, wie jak swoistym i ciekawym jest widok dziewcząt, zgrupowanych w wielkich, dobrze oświetlonych salach i zajętych w milczeniu swoją robotą. Zręczne ich palce zwijają z błyskawiczną szybkością liście tytoniowe, stos cygar przed nimi rośnie i rośnie...

Praca w fabrykach kubańskich zaczyna się o 7-ej rano; — o tej więc wczesnej godzinie gromadzą się już w wielkich salach robotnice. Na wysokości podjum pośrodku wielkiej sali zajęła miejsce lektorka. Przed nią piętrzy się stos świeżych gazet, które odczytuje po kolei dźwięcznym głosem o melodyjnych infleksjach narzecza Kubańskiego.

Audytorjum w skupionem milczeniu słucha najświeższych wiadomości z dziedziny polityki zagranicznej, wewnętrznych spraw kraju — potem przechodzi kolej na artykuły z życia sportowego, towarzyskiego, recenzje o najnowszych ksążkach lub ostat-

niej premierze teatralnej. Zadziwiającem jest, jak uważnie potrafią słuchać te dziewczęta, nie przerywając przytem ani na chwilę swej pracy i nie zmniejszając szybkiego jej tempa.

O godz. 11-ej przerwa obiadowa. Lektorka odchodzi, popołudniu zaś zastępuje ją inna, która przynosi ze sobą jakąś zajmującą powieść, lub też popularne wydawnictwo naukowe. Doborem literatury do tych głośnych czytanek zajmuje się specjalna komisja złożona z robotnic; one też same opłacają lektorki ze swych skromnych funduszków.

Czasami zdarza się, iż na trybunę w sali fabrycznej wchodzi któryś ze znanych działaczy społecznych, lub student uniwersytetu i wygłasza odczyt na jakiś temat popularno-naukowy. Ma to jednak miejsce dość rzadko: robotnice przeważnie lubią tylko słuchać czytania swoich lektorek, Czują się wtedy zupełnie „w swoim kółku“. Największy zaś zachwyt w nich wzbudzają pięknie deklamowane wiersze, żaden bowiem chyba naród nie upaja się tak rytmicznymi dźwiękami poezji, jak hiszpański.

MŁODZIUTKA PŁYWACZKA

Siedmioletnia Atbrella Bennet, mieszkająca w Melbourne, jest chyba jedyną na świecie osobką, która tak w młodym wieku uzyskała medal honorowy „Królewskiego Towarzystwa Ratowniczego“ w Australji.

Wysokie to odznaczenie zdobyła sobie dzięki niezwyklej umiejętności pływania. Jest ona w rzeczy samej doskonałą pływaczką i brała już nawet kilkakrotnie udział w miejscowych konkursach pływackich. Sławę swą jednak zawdzięcza bohaterstwu czynowi: uratowała mianowicie od śmierci koleżankę swą, tonącą w falach wzburzonej rzeki.

Małeńka Atbrella znajdowała się wypadkowo wtedy nad brzegiem ujrzawszy tonącą, rzuciła się do wody bez namysłu, nie tracąc czasu nawet na zdjęcie z siebie okrycia — i z niezwykle przytomnością umysłu, walcząc z unoszącym je obie prądem rzeki, która w tem miejscu tworzyła niebezpieczne wiry — wyciągnęła na brzeg nawpół już tylko żywą dziewczynkę.

Ten odważny i pełen poświęcenia czyn uczynił z małej Atbrelli jedną z najpopularniejszych istotek w Australji. Wszyscy zgodnie przepowiadają małej bohaterce niezwykle świetną przyszłość, zarówno jako *championce* konkursów pływackich, jak i na stokroć wznioślejszem polu ratownictwa.

NOWA „PROFESJA“ DLA KOBIET

Któżby pomyślał, że pomiędzy tymi wszystkimi zawodami, w jakich kobiety współczesne starają się rywalizować z mężczyznami, znajdzie się i zawód... rabina?! — śmiejecie się czytelniczki? A więc posłuchajcie:

Na zjeździe rabinów amerykańskich w Cap May, w stanie New Jersey, toczyła się niezmiernie ożywiona dyskusja pomiędzy odłamem bardziej postępowym a konserwatystami, trzymającymi się ściśle starych zwyczajów, na temat: czy kobieta może zostać rabinem?

Bezpośrednią przyczyną podniesienia tej kwestji była pewna młoda izraelitka, córka profesora w Cincinnati, która zapisała się na kursa przygotowawcze dla rabinów i odbyła wszystkie studia, jakie są wymagane dla otrzymania tego stanowiska. Ztąd wynikła zupełnie logicznie kwestja, czy po ukończeniu tych studiów będzie ona mogła pełnić obowiązki rabinowa na równi ze swymi kolegami.

Dyskusja nad tą sprawą trwała dwa dni i obfitowała w momenty nader burzliwe. Wreszcie, po wyczerpaniu wszelkich argumentów, zarówno *pro*, jak i *contra*, odniosła zwycięstwo grupa postępowca. Na jej żądanie umieszczono w dorychczasowych przepisach specjalną klauzulę, opiewającą, że godność rabinowa może być piastowaną także i przez kobietę.

Tak więc rozstrzygnięty jest los owej „mężnej a uczzonej białogłowy”, ciekawe tylko, czy znajdzie ona wiele naśladowczyń wśród córek izraelskich?

Z. B.

Jakie nosić kapelusze w tym sezonie?

Wchodzę do magazynu „Chapeaux de Luxe”, który stoi na wysokim poziomie artystycznym, co jest zrozumiałe — jeśli się wie, że właścicielka firmy — jest osobą z towarzystwa, mającą wiele kultury, gustu i prowadzącą dział tych wykwinnych robót — z amatorstwa.

Powróciła z Paryża, i z całą uprzejmością kobiety ładnej i eleganckiej, opowiedziała mi wiele ciekawych szczegółów mody — popartych modelami ślicznych kapeluszy.

Zacznijmy od ogólnego zarysu: „W sezonie wiosennym trzeba nosić kapelusze tylko małe, stosowane barwą do kostjumów i płaszczy”.

Fasony przeważnie „cloche”. Nawet jeśli jest rondko odwinęte, to jednak linja głęboka „clochu” pozostaje.

Najmodniejsze kolory jaskrawe, co niepowinno przerażać — są to bowiem wymagania najwykwintniejszych paryżanek.

Nadzwyczaj modne są kapelusiki pokryte wzorzystymi materjami w duże i jaskrawe desenie; jeden z modniejszych kolorów, to kolor „blond”, jest to odcień złotawo-żółty, na którym ślicznie kombinuje się — deseni i haft.

Wogóle hafty zajmują poważne miejsce w świecie mody, prawie każda budeczka ma całą główkę powyszywaną złotem i kolorowymi jedwabiami.

Są budki z wyhaftowanym jednym dużym motywem z boku, stylizacja haftów i wzorzystych materji przeważnie oparta na motywach egipskich. Ogromnie modne są długie aksamitki, wstążki, lub gazowe końce, obejmują szyję i podpinają się, — lub wiążą z boku.

Do budeczek eleganckie i pełne dyskretnej kokieteryji są małe woaleczki z brzegiem lekko haftowanym, przymocowane do rondka i nie szersze jak 2, 3 cm. tworzy to, jakby tajemniczą zasłonę na oczy i rzuca miękko cień na twarz.

Jako ostatnią nowość nosi się z jedwabnej materji — (tej co kapelusz) długi prosty szal, który obejmuje szyję i przerzuca się przez ramię. Szal ten zakończony musi być haftem

takim, jak bok kapelusza, motyw ulubiony: róża lub jabłko z tłem liści.

A teraz słów parę o modnym obuwiu. Nóżki paryżanek obute są w kolorowe pantofelki: granatowe, lila, zielone i t. d.

Jednym słowem wiosna i lato zaśmieją się pełną gammą rysunku i barw.

Najciekawszym z pań — chciałabym opowiedzieć o kilku modelach.

Lecz wracajmy do kapeluszy.

Jednak przyjemnie jest mówić o rzeczach ładnych, więc:

Czarna jedwabna budka, główka cała z drobniutkich, poprzecznych plisek, rondo bodbite jedwabiem fraise, z tego koloru jedwabiu zrobione malutkie różyczki, lekkim półkolem upięte z przodu. Z prawej strony spadają 3 długie końce z wąskiej rypsowej wstążeczki, jeden gładki, 2 drugie od połowy napięte różyczkami — tworzy to śliczną całość, zwłaszcza jeśli jedną wstążką objąć szyję.

Wykwintny do brązowego kostjumu lub płaszcza mały klosz brązowy cały ręcznie haftowany.

Budeczka wzorzysta o ciepłych tonach koloru „blond”, otoczona w górze główki pliską skrzyżowaną z przodu w dwa kokieteryjne różki.

Jedwabna granatowa czapeczka zeszyta z czterech trójkątów z lekko odwinętym rondkiem haftowana czerwonymi paciorkami.

Czarna jedwabna budka o dwóch rondkach: jedno — odwinęte mocno ku górze, drugie opuszczone z przymocowaną maleńką woaleczką. Dużo jest kapeluszy ze słomą, zawsze jednak szytych w połączeniu z materją, sama słoma nie jest modna i wykwinna.

Ze wędrowki kapeluszone są w pełnym rozkwicie poznać można z ruchu w magazynach.

Kilka znanych artystek przygląda się swym odbitym w lustrach główkom z prawdziwym i zupełnie uzasadnionym upodobaniem, a jednak... zdecydować się nie mogą, wszystko im się podoba, co wybrać?

W takiej chwili cennym jest gust właścicielki magazynu świetnie chwytającej indywidualny typ urody do magający się odpowiedniego stylu, linji i koloru.

B.

NEO-FOSFATYNA WENDY

zdołała sobie uznanie jako najlepsza mączka odżywcza dla dzieci, starców i rekonwalescentów.

⁹⁵ Skład Apteka WENDY
Krak. Przedm. 45. w Warszawie
— ZĄDAĆ WSZĘDZIE —

Niedostrzegalnie,
trwale usuwa siwiznę

ORIENTINE

NADAJE WŁOSOM POLYSK
I MIĘKKOŚĆ PROSTY W UŻYCIU
BEZWARUNKOWO NIESZKODLIWY
PARFUMERIE D'ORIENT
• VARSOVIE •

MYDŁA PRZETKUSZCZANE

TOW. AKC.

Fr. Karpiński

W WARSZAWIE

UDELIKATNIAJĄ PŁEĆ, KONSERWUJĄ ŚWIEŻOŚĆ CERY, NADAJĄ SKÓRZE MIĘKKOŚĆ I MATOWOŚĆ, NIE NISZCZĄ NASKÓRKĄ.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Żywy trup” — Sztuka w 12 obrazach Lwa hr. Tołstoja, reż. A. Zelwerowicz.

Głupie są wasze prawa, — opowiada Teodor Protasow do sędziego śledczego — głupie i złe. Żyłoby o to dwoje ludzi i nikt o nich nie wiedział, nikt o ich życiu prywatnym nie słyszał, nie interesował się nim. Cicho, bez szelestu jeden z tych ludzi zniknął, usunął się na ubocze dla szczęścia dwojga pozostałych i było dobrze, było spokojnie. Aż oto zjawili się stróże prawa: wywlekli dawno pogrzebaną historję na światło dzienne. Awantura, śledztwo, poruszenie opinii publicznej! Bigamja! A więc sąd i kara za przestępstwo. W najlepszych okolicznościach — pokuta kościelna i po-

wrót żony do pierwszego męża. Oboje tego nie chcą przecież. Stworzyli sobie nowe warunki życia, szczęśliwsze. I oto z trudem sklecona lepianka jakiego takiego spokoju i szczęścia, rozpada się odrazu. Dlatego, że w prywatne życie trojga istot, wdały się władze rządzące, nazwane władzami sprawiedliwości. Głupia i zła ta ich sprawiedliwość, głupi i ograniczeni ludzie, którzy ją wymierzają. Głupie są wszystkie prawa, bo nie uwzględniają indywidualności: karzą i nagradzają według szablonu.

Oto mniej więcej teza, dla której została napisana sztuka. Dziś, gdy prawie cały naród rosyjski jest właśnie żywym trupem, krwawym upiorem na ruinach zniszczonej cywilizacji, wiemy już, jak ma na imię apoteoza tych ideałów i haseł: jest nią bolszewizm. Można powiedzieć, że Lew Tołstoj był właśnie „zapiewałą” tragicznej pieśni, która w ustach rozpętanego tłumacza przeszła w nieludzki ryk, a następnie w rzeźnię przedśmiertną.

Historja pozwoliła sobie na okrutny eksperyment: przyoblekła w realny kształt marzenia jednostki o swobodzie człowieczej. Zwalone zostały wszystkie prawa, a powstało na ich miejsce tylko jedno: prawo bezprawia. To, co doświadczenie dziesiątków pokoleń budowało, cegiełka po cegiełce, runęło w jednej chwili. Oto małe przykłady: Protasow Tołstojowski nie miałby dzisiaj procesu o bigamię, bo w bolszewiji śluby i rozwody są na porządku dziennym. Prawo do nich kupuje się, jak znaczek pocztowy: za gotówkę i w dowolnej ilości. Nie ma dziś więc racji bytu bigamja, ale czy ma rację bytu małżeństwo? Z chwilą, gdy zniknęły prawa, zabezpieczające trwałość i rozwój życia rodzinnego, to ostatnie musiało również upaść i zaniknąć.

W imię głoszonych przez siebie ideałów, winienby dziś Tołstoj, gdyby żył, krzyknąć z triumfem: Hosanna! Lecz czyby wykrzyknął? Każdy pożar zaczyna się od iskiereki. Wzniesić ją łatwo, lecz gdy się w żywioł rozpęta, nie budzi już zachwyty, a grozę, przerażenie i — może spóźniony żal, że się igrało obseczaczami postulatami, jak niewinną zabawką.

Przynajmniej, że nie rozumiem celu wzniesienia dziś u nas takiej sztuki, jak żywy trup. Nie posiada dość walorów artystycznych, by ją traktować, jako dzieło nieśmiertelne, a to, co przez nią wyrazić chciał autor, zostało już wypowiedziane mocniej, bo przez życie samo. „Żywy trup” jest więc dzisiaj swą własną złąbką miniaturową.

Role tytułową, grał bardzo ciekawie p. Adwentowicz, który w umiejętności odtwarzania chorobliwych stanów duszy ludzkiej jest zawsze mistrzem.

P. Helena Gromnicka, jako Elżbieta Protasowa miała dużo wdzięku i miękości bardzo kobiecej. Postać „Elżuni” przypomina trochę biednego ptaszka o przetrąconem skrzydełku: trzyma się on swojej gałązki, ale raz z niej strącony, w niepewnym locie cepia się kurczowo pierwszej lepszej najbliższej. P. Gromnicka wykazała dużą indywidualność w szerokiej skali. Brak jej tylko chwilami naturalnego tonu w akcentowaniu wyrazów, co czyni wrażenie, jakby urocza artystka ulegała lekkiemu zmanjerowaniu.

Jeszcze mniej akcenty szczerze brzmiały w głosie p. Sulimy. Rola hrabiny (Anna Karenin) nie wymaga bynajmniej afektacji.

P. Broniszówna grała Maszę — cyganek tym razem bez temperamentu. Zelwerowicz, jako książę Sergiusz Abrezkow, miał wspaniały, szeroki Mikołajewski płaszcz, ale zbyt wąskie pole do wydobycia czegoś więcej ponad zdawkowość Wyreżyszerował sztukę jak zwykle b. starannie.

Dekoracje odtwarzały wiernie ohydę wnętrza: czwarto — i dziesięciorderne jadłodajnie. przepojone zapachem wódki, dziegci i machorki. Smutne, jak każda brzydota, pozbawiona duszy.

Wanda Miłaszewska.

Z KSIĄŻEK

Władysław Spasowski. *Zasady samokształcenia*
Wyd. Arcta, Warszawa.

Cokolwiekby powiedziedź można o naszych błędach i wadach narodowych, w głębi duszy ludzi najlepszych tkwił zawsze instynkt naprawy stosunków, udoskonalenia ogólnej psychiki, przez mądrą a celną pracę wychowawczą. Instynkt ten objawiał się bardzo żywo w każdej epoce naszego istnienia. Wspaniałe talenty pedagogiczne reformatorskie zabłysły najświetniej w dobie upadku politycznego państwa, jakby dla wskazania drogi ratunku i odkupienia. I testament wielkich mężów odrodzenia spełniają jednostki wybrane, przez cały ciąg naszych dziejów porobiorowych; kryją się w podziemiach, zapełniają rosyjskie więzienia, pracują tajemnie pod groźą surowości władz pruskich, ale nie ustają w swoim szlachetnym trudzie.

Przyszła chwila wolności, spełnienia długo tajonych marzeń. I ukazały się oczom naszym szerokie, zaniebane drogi, których tylko częstą uprawę mogły szlachetne usiłowania. Ale i tu wrodzony nasz instynkt obronny objawił się w całej pełni. Odrzuć, jakby z pod ziemi ukazały się całe zastępy nauczycieli ludowych, w kraju, gdzie z seminarjów nauczycielskich wygnano mowę polską i zabroniono polskiego pisma i książki. Zrazu zrzeszyło się 8000, wkrótce ta liczba wzrosła do 36000, za mało jeszcze jednak na potrzeby 30-to miljonowego państwa, niedostatecznie do swoich odpowiedzialnych zadań przygotowana.

I oto znakomity pedagog i wychowawca przyszłych nauczycieli Dr. Wł. Spasowski oddaje społeczeństwu książkę, owoc swoich przeżyć i doświadczeń, gorącą miłością ojczyzny natchnionych i wskazuje jakim powinien być nauczyciel w wolnej Polsce, tej Polsce, która pod dawnym swoim hasłem „za wolność naszą i waszą” wchodzi obecnie w krąg nowożytnych poczyniń i dażeń. Przez długi czas naszej przymusowej bezczynności, na arenie światowej wiele się zmieniło, życie poszło naprzód, to co naszym mężom odrodzenia zdawało się jeszcze dziełem dalekiej przyszłości, weszło w życie, stało się czynem, przekształcającym je od podstaw i my z tym nowym rytmem ludzkości podążać musimy. Wprowadza nas weń prof. Spasowski a kto wie, może swą polską duszą odczuwa go głębiej, nadając mu swoiste do charakteru narodowego przystosowane znaczenie. Polska zbudziła się do nowego życia biedna, nie mogąca zaspokoić odrazu swych duchowych potrzeb, nie zdolna stworzyć tyle instytucji wychowawczych i tak je zaopatrzyć, jak tego jej braki oświatowe wymagają. Otwiera się tu więc szerokie pole do samokształcenia, które stało się nagłą koniecznością. I właśnie wskazówką do tej pracy dla nauczycieli szkół powszechnych, szczególnie, jest książka p. Spasowskiego. Ważny ten problem został w sposób niezwykle podniosły ujęty. Skupiły się tu nasze najlepsze tradycje pedagogiczne z ostatnimi zdobyciami wiedzy światowej w tym kierunku, przeżycie i przemyślenie autora z tem wszystkim co nam pozostało. Jako drogowskazy w sferze wychowawczej, najlepsze duchy ludzkości. „Dziś, gdy płyta niewoli narodu została odwalona”, pisze p. Spasowski w przedmowie do swojej pracy, „a zarazem znikły podstawy i przyczyny zacieśnienia umysłu i uczuć, jako skutku wszelkiej niewoli, obowiązkiem każdego z nas jest odetchnąć wreszcie pełną piersią, nie tylko sięgnąć głębiej do duszy własnej, lecz także ogarnąć wzrokiem jaknajszerszy widnokrąg życiowy i zaprzagnąć realizacji ideałów wszechludzkich. I książka odpowiada najzupełniej swojemu założeniu. Otwiera ona szerokie horyzonty, sprawę zaś wykształcenia wychowawcy człowieka i narodu rozważa nietylko pod kątem chwili bieżącej ale w perspektywie przyszłości, „gdy pogłębianie duszy własnej i udoskonalenie człowieka stanie się ogólnym nakazem”. Bardzo pięknym jest to co autor mówi o wieku młodzińszym, czasie siewu wielkich idei i szczytnych pragnień. „W latach, gdy się ma już głowę filozofa a serce poety, gdy się jeszcze nie mierzy siły na zamiary i posiada ducha czynnego zapału, należy rozszerzyć pole swego widnokręgu i zainteresować

wań do badań pogłębianych... Zdobyty wtedy materiał faktyczny i ideowy przetrwa na pozniej i skryształizuje, stanie się własnością osobnika, ukrytą sprężyną jego działań...” P. Spasowski zaleca swoim wychowawcom kult bohaterów, chce by się kształcili na życiorysach wielkich ludzi „bohaterem bowiem nie jest tylko ten co podejmuję walkę oręża ale i ten co może walczyć i umierać dla idei.

Obszerny dział wskazówek metodycznych, do samokształcenia stawia sobie podniosły cel wychowanie „człowieka” i czynnego a twórczego obywatela kraju.

Książka ta powinna się znaleźć w rękach tych wszystkich co pragną odrodzenia narodu i dla tego celu pracują.

J. W. K.

Wskazówki praktyczne WIELKI POST.

Skończył się nareszcie, tak w tym roku długi i ożywiony karnawał. Mimo ogólnego braku pieniędzy bawiono się szalenie, i co najgorzej zbytownie, nigdy bodaj za materialnie najlepszych czasów, nie widziała Warszawa tak zbytownych tualeci, a co się przejadło i przepijało przy kolacjach balowych? Przy jednym stole zdarzały się rachunki za samego szampana pięć miliardów marek, szampan oczywiście był francuski, nie był to napewno sposób wykazania szczerości naszych uczuć aljantom. Teraz po posypaniu głów popiołem i przyczepieniu tradycyjnych klocków pannom i kawalerom, pozostałym w wolnym stanie, (n. b. zbytki szalonego tego karnawału nie zachęcały do ożenku i nie ułatwiały zamażpójściu, inicjatyw w zawieraniu małżeństw było niewiele — możemy się oddać smętynom rozmyślaniom na temat zaciągniętych długów, a przynajmniej niepotrzebnie porobionych wydatków, — wiosna idzie, trzeba wszystko odświeżyć w domu i w garderobie — a tu brak pieniędzy zupełny. Jeśli jesteśmy tak przywiązani do wszelkiej tradycji, że gwoili jej szaleliśmy cały karnawał, zastusujmy się do niej i w wielkim poście, przedewszystkiem więc uszanujmy przepisy Kościoła Świętego i wstrzymajmy się od tańców przez te siedem tygodni, nie tańczmy ani na dancjach, ani w domach prywatnych pod pretekstem, że to nie bal przecie. Już Adwent zupełnie poszedł w zapomnienie, niechaj chociaż post wielki pozostanie na okupienie ducha, odpoczynek nóg i kieszeni. Te ostatnie co prawda nie bardzo odpoczywają gdyż cały szereg instytucji dobroczynnych i społecznych projektuje różne koncerty i rauty, aby zasilic swoje puste kasy. i jeśli tańczyliśmy tak wytrwale na pięknie i wzniosłe cele, nie mamy prawa odmówic udziału w tych nieco poważniejszych rozrywkach, — kończą się w cześniej, będą mniej męczące i mniej szkodliwe dla zdrowia, a potem nie będzie na nich tych zbytownych kolacyj tego gwoili „przyjaźni francuskiej” wypijanego szampana i oryginalnych likierów. Czuję, że zrzedzę, może a nawet napewno słuszenie, lecz zrzedzę i w dodatku poruszam tematy, nie do mego „resortu”, jak mówią urzędnicy, należące. Wracam więc do porad i dziedzin trosk gospodarczych. Jadłospisy postne są nie trudniejsze do wykonania od mięsnych, tem bardziej, że ostatnimi czasy z racji drożyzny mięs, w większej części domów jadano dużo potraw mącznych, — jeżeli więc te potrawy zamiast słoniny okrasimy zrumienionem masłem lub zamiast smażyć na szmalcu, możemy na masle kokosowem, które jest produktem czystym i łatwo strawnym, będziemy mieli cały szereg dań postnych. Jarzyny, niestety bardzo w tym roku drogie, dają tyle wybornych potraw, szczególnie jeżeli sprowadzić cały szereg mniej używanych, np. saltefję i skorconę, znane w Warszawie pod nazwą szparagów zimowych, bulwę włoską w smaku delikatniejszą od kalafiorów, trzy te jarzyny obgotowane polane masłem rumianem z bułeczka, lub zapieczone pod bechamelem są wyborne, — szkoda tylko, że te jarzyny do uprawy łatwiejsze od marchwi i kartofli są kilkakrotnie od nich droższe. Włoska i biała kapusta jako jarzyny też nie dosyć są używane, obie obgotowane i polane masłem rumianem, sosem białym lub grzybom-

wym, nadziewane grzybami i ryżem, zapiekane pod beszamelem są smaczne i pożywne. Pasternak ugotowany, pokrajany w pasy osypany mąką i bułeczką i osmażony na rumiano ma smak wykwintny, selery ugotowane w całość z sosem holenderskim. pory, szczególnie te co przezimowały pod śniegiem, z masłem lub sosem białym, są delekatniejsze w smaku od szparagów i t. p. Same kartofle mogą być przyrządzane w tyle rozmaitych sposobów, że w Niemczech jest popularna książka pod tytułem „tysiąc dań z kartofli“ trzeba tylko nieco pomysłowości i pracy. Ryb w tym roku Warszawa ma obfitość i są one dotąd nie droższe od mięsa, użytek jaj i nabiału jest powszechnie znany, nic więc nam na drodze nie stoi w obserwowaniu przepisów Kościoła. Nie zalecam wcale umartwień specjalnych, w rodzaju postu ściśłego, bez jaj i nabiału, lub jak maćki i babki nasze z wyrzeczeniem się tego co najbardziej lubiały, np. cukierków i ciastek, lub przekąsek i wędlin, lub dla panów cygar i win, chociaż właśnie takie umartwienie, jako rzeczywistą stanowią ofiarę z przyzwyczajenia i przyjemności chyba są miłe Bogu—Mówię tylko o zwykłym powstrzymaniu się od mięs przez pierwszy i ostatni tydzień postu i przez trzy dni w tygodniu w ciągu reszty jego, — będzie to miało dobroczynny wpływ na zdrowie, a zmiana jadłospisu nie tylko nie będzie umartwieniem, przeciwnie zaostrzy apetyt. W następnym numerze podam sposoby przyrządzania rozmaitych mniej używanych i smacznych jarzyn, o których dzisiaj tylko sumarycznie wspominałam.

Pani Elżbieta.

Opis sukien i robót do Nr 12.

1. Palto z gabardiny brązowej. Rękawy i kołnierz stebnowane.
 2. Płaszcz z peleryną z popielatego cienkiego zamszu, rogi peleryny haftowane.
 3. Kostjum biały sukienki objęty czarną taśmą.
 4. Czapka ciemna z brązowego jedwabiu, wyszyta złotymi pacioreczkami. Wylóg ciemno złoty.
 - 5 Czapka z granatowego jedwabiu wyszywana ponsowemi paciorkami.
- Obie te czapki można bardzo łatwo zrobić w domu z kawałków jedwabiu, lub resztek jakiejś lekkiej wełny.
- Formy z dokładnym opisem są do nabycia w Administracji Bluszczu.
6. Skromna bluzka z woalu przybrana fantazyjnymi guziczkami.
 7. Palto z angielskiego materiału.
 8. Kostjum piaskowy z lekkiej wełny.
 9. Bluzka z lila jedwabiu. Kołnierz, mankiety i szarfa białe.
 10. Najmodniejsza parasolka ze strusich piór.
 - 11 Woreczek z deseniowej lamy.
 - 12 Woreczek z wytłaczanej skóry malowanej kilkoma kolorami i złotem.
 - 13 Woreczek z tafty czarnej i białej zahaftowanej czarnymi pacioreczkami.
 - 14 Parasolka z deseniowego jedwabiu, lub satyny objęta plisą w jednym kolorze.
 - 15 Woreczek czarny aksamitny ozdobiony galonem przerabianym srebrem.

- 16 Bluzka markizetowa ozdobiona me reżką.
- 17 Bluzka z wzorzystego jedwabiu lub woalu przybrana ciemną aksamitką. Kołnierzki białe.
- 18 Palto z czarnego sukienka z marszczonym przodem.
- 19 Palto z granatowej gabardiny przybrane czarną taśmą.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku móg nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

OFIARY

Na Komitet „Chleb Głodnym Dzieciom“ pod Protektoratem W. P. Prezydentowej Wojciechowskiej.¹

Z. Knapska	10 000.000	mk.
F. Chęcińska	1.000.000	„
L. Kowalska	10,000.000	„
Zdziś i Lila Kowalscy	5.000.000	„
St. Antoniewiczowa	2,000.000	„
I. Mikoszevska	3.700.000	„
Parczewiaci	1.700.000	„
Jurek, Hania i Mirek Soleccy	3.700.000	„
Wisienka i Konradek Braulińscy	2.000.000	„
S. Truszczyłówna	2.000.000	„
J. Bednarski	1.200.000	„
Z. Gabszewicz	2.000.000	„
Bezimiennie	5.000.000	„
H. A. Krystek	20.000.000	„

URODĘ kobiecą konserwuje, doskonali, odświeża, usuwa jej skazy i braki pierwszorzędny

Gabinet racjonalnej kosmet. **D-rowej MAGDALENY POZNAŃSKIEJ**

MOKOTOWSKA 52 — TELEFON 108-37.

BARWIENIE WŁOSÓW HENNA. 112

TRWAŁE PRZYCIEMNIANIE BRWI

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY

„KOŁORYT“

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA

N A R A T Y

ALEKSANDER MACIEJEWSKI

dawniej BRACIA MACIEJEWSCY

MARSZAŁKOWSKA Nr. 87. 1 piętro. TEL. 90-45.

WIELKI WYBÓR towarów BŁAWATNYCH męskich i BIAŁYCH. SATYN FRANCUSKICH, BATYSTÓW GŁADKICH i FANTAZYJNYCH. KOŁDER WATOWYCH i WEŁNIANYCH. FIRANEK FABRYCZNYCH i TIULOWYCH oraz JEDWABI.

Pp. Oficerom, Urzędnikom Państwowym i Komunalnym specjalne udogodnienia

Ceny konkurencyjne ➡ **Obejrzenie nie obowiązuje do kupna.**

116

N A R A T Y

ROK ZAŁOŻENIA 1848

Firma nagrodzona ZŁOTYM MEDALEM na wystawie ogrodniczej w 1922r. podczas wszechpolskiego zjazdu ogrodniczego

SKŁAD I HODO-
WLA NASION

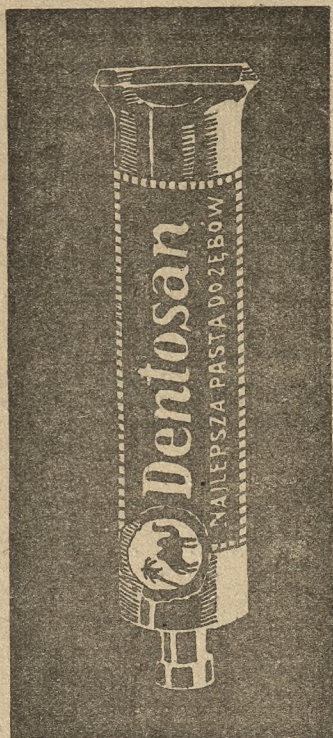
BRACIA HOSER

Warszawa, ul. Jero-
zolimska 45, tel. 5-81.

NASIONA WSZELKIEGO RODZAJU
Własne plantacje w Rakowcu i Żbikowie

Cenniki na żądanie!

90



119

Z dziedziny kosmetyki.

DO WSZYSTRICH CZYTELNICZEK „BLUSZCZU“.

Zbliżająca się wiosna, a z nią zmiana temperatury, zwykle wywierają ujemny wpływ na cerę. Szczególniej odczuwają to osoby więcej wrażliwe na wpływy atmosferyczne. Postaram się tutaj dać kilka ogólnych wskazówek i nie pożądanym zmian w naszym klimacie. Ważne jest, żeby pory skóry były oczyszczone z kurzu i innych naleciałości, dla tego, szczególnie twarzy, powinno się myć *otrąbkami Abaridowemi*, które doskonale oczyszczają skórę. Żadne mydło nie jest w stanie zastąpić *otrąbek abaridowych*, dla tego, że mydła są natury alkalicznej i wskutek tego szkodliwie działają na delikatny naskórek. Jeżeli ktoś nie ma pod ręką *otrąbek Abaridowych*, to powinien je zastąpić *mydłem Abaridowem*, jako jedynym, zawierającym wyciąg liljowy, i choć w części mogącym zastąpić *otrąbki Abaridowe*. Jeżeli chcemy uniknąć szybkiego opalenia się, to do wody do mycia trzeba dodawać (łyżeczkę na litr wody) *plynu Abarid*, który zapobiega szybkiemu opaleniu się i nadaje skórze matową białosć.

Jeżeli tę białosć chcemy utrzymać przez całe lato, to na noc po umyciu i natarciu twarzy *kremem Abaridowym*, (o którym będzie poniżej) trzeba dobrze przypudrować twarz pyłkiem *Jurenia Candida* który ma własność wybielania nawet bardzo ciemnej cery.

Podczas wiosny i lata, często daje się zauważyć pewną szorstkość naskórka, zdarza się to szczególnie tam, gdzie woda do mycia jest twarda. W tych wypadkach trzeba się myć w wodzie przegotowanej, dodając do niej łyżeczkę proszku *La Molette*.

Dla zachowania delikatności cery i zapobiegnięcia łuszczeniu się jej, codziennie wcierać odrobinę *nie tłustego kremu Abarid*, który ma jeszcze tę własność, że ściąga pory i przy stałym użyciu zapobiega tworzeniu się zmarszczek. Jeżeli cera jest tłustą błyszczącą i skłonna do tworzenia tak zwanych wągrów, to *krem Abarid* jest niezastąpionym, jako *krem nietłusty* przygotowany na miodzie i wyciągu z cebulek białej lilji.

Jeżeli wągrzy już są, to trzeba używać *plynu pureol*, specjalnie usuwający wągrzy i odtłuszczający cerę.

Jeżeli wągrzy są uporczywe, to jednocześnie z *plynem pureol* trzeba stosować *Masazystkę Heros*.

Przed wyjściem na powietrze, trzeba twarz natrzeć *kremem Abarid* i przypudrować *pyłkiem Abarid* który nie zawiera mineralnych części, i jest przygotowanym z domieszka subtelnie mielonych cebulek lilji białej, jest więc dla naskórka środkiem odżywczym. Bardzo wiele pań dostaje wiosną tak zwanych „piegów“, otóż jako środek usuwający piegi, możemy polecić *krem preciozę*, która jednocześnie usuwa różne ciemne plamy i zapobiega opaleniu.

M-m. E'rcedes.

Wszystkie środki tutaj wymienione nabywać można w Warszawie w perfumerji „Perfection“ Szpitalna 10, perfumerjach W. Paszkowskiego, w Poznaniu u M. Zaremki, Fredry 2 i w Krakowie u K. Miłkowskiego.

101

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO KUPNA PAPIERU do PAKOWANIA

POLSKA SKŁADNICA PAPIERU

S. RADZIWIŃSKI

Warszawa, ul. Nowogrodzka № 39. Tel. 75-48.

W. P.

102

Niniejszym mamy honor dnieść, iż posiadamy na składzie w dowolnych ilościach:

PAPIER: do pakowania wszelkich grubości i wymiarów, kancelaryjny, drukowy, listowy i koperty.

PERGAMINY: sztuczny i roślinny.

BIBUŁKI: butelkową, angielską, na serwetki

TORBY: papierowe, wycieczne, fantazyjne.

SZPAGATY: papierowy, konopny różnych grubości, oraz kolorowy.

Z poważaniem S. RADZIWIŃSKI

P. Zanim W. P. poczyni zakupy gdzie indziej radzimy zapytać nas o ceny.

TELEFON 75-48.

TELEFON 75-48.

98

POLSKO-AMERYKAŃSKA
SPÓŁKA AKCYJNA

„SOUTHERN TRADE“

Poleca: w wielkim wyborze hafty artystyczne: obrusy białe i kolorowe, serwety, laufry, ręczniki, bluzki, suknie, kołnierze.

Ceny umiarkowane!

Mokotowska 12.

MAGAZYN MÓD

POLECA KAPELUSZE
W DUŻYM WYBORZE

MARJA HOŁDAKOWSKA

BRACKA 3

BRACKA 3

107

MAGAZYN MÓD

MARYI JACZEWSKIEJ

poleca kapelusze damskie od skromnych do najstrojniejszych oraz żałobne w wielkim wyborze

CHMIELNA 24

113

K. WIECHECKI I W. POZNER
dawniej UNION LIBERTY Co

Warszawa, MONIUSZKI 4

Poleca: MATERJAŁY UBRANIOWE, BIELIŹNIANE, POŚCIELOWE, STOŁOWE, KRETONY, SATYNY, CHUSTKI

122

KSIĘGARNIA

Polsko - Amerykańskiej Sp. Akc.

„Southern-Trade“

Warszawa, Mokotowska № 12

poleca własne wydawnictwa, dział książek angielskich, beletrystyka. Pismo św. w najrozmaitszych tekstach

96

LAKTA i MILKA,

najmocniejsze wirówki do mleka, pracują bez naprawy dziesiątki lat. Lakta odtłuszcza mleko i niepodgrzewane.

OMEGA, konwie do mleka, masielnice, wygniatacze, serowarskie przybory.

Biura sprzedaży:

WARSZAWA, Krak. Przedmieście 6.

POZNAŃ, Wawrzyniaka 14,

ŁÓDŹ, Kościuszki 29.

LUBLIN, Namiestnikowska 13.

WILNO, Końska 18.

KRAKÓW i LWÓW,

ZWIĄZEK SP. MLECZARSKICH.

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

HELENA KĘDZIERSKA

AKUSZERKA

WILCZA 32 — TELEF. 231-98.

Przyjmuje zamówienia w Warszawie i na wyjazd.

87

AKUSZEKKA

WALICKA

PRZYJMUJE ZAMÓWIENIA

... I UDZIELA PORAD ...

CENY PRZYSTĘPNE

MARSZAŁKOWSKA 53 M. 27

103



Kalia

Wyroby nasze nie ustępują zagranicznym.

J. & S. STEMPNIEWICZ + POZNAŃ
FABRYKA PERFUM I KOSMETYKÓW

ODDZIAŁY:
 WARSZAWA ↗ KRAKÓW ↗ RADOM
 KŁ. SKORUPKI 8. RYNEK GŁÓWNY 46. PIAŚKI 12.

117

QUAKER OATS



oryginalne
p ł a t k i
owsiane
 dla dzieci,
 chorych
 i rekonwalescentów,
 niezmiernie pożywne
 i lekko strawne

65

Kolczyki specjalnie w mo-
 im zakładzie
 kosmetycznym
 —zakładają się kolczyki, usuwają się:
 KURZAJKI, BRODAWKI, ZNAMIO-
 NA, WĄGRY i t. p. defekty.
 WARSZAWA, NIECAŁA 5. KLIMECKI.

55

Pracownia Haftów „**WANDA**”
 Wykonuje wyprawy, hafty sukniowe
 i richelieu. Z powierzonych i go-
 towych materiałów.
 :: Nowogrodzka 7 m. 10. ::
 wejście frontowe

73

LEKARKA-DENTYSTKA
STEFANJA HOLICZEROWA
 wznowiła przyjęcia
 Marszałkowska 80
 wejście od Wspólnej.

89

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ
WŁADYSŁAWA SUDYK
 Przyjmujemy zamówienia terminowe
 z powierzonych materiałów na swetry
 bielizną i t. p.
 Robota wykwinna.—Wykonanie solidne
 i punktualne.
 Warszawa, Nowy Świat № 12
 Pracownia przy sklepie.

83

„TRYKOT POLSKI”
H. ŻÓŁTOWSKI
 POZNAŃSKA № 1
 Swetry od 19.000.000 czysto
 wełniane
 Wielki wybór pończoch
 Ceny ściśle fabryczne
 STAŁE NOWOŚCI SEZONU

111

SOLIDNIE! TANIO!
NA SEZON WIOSENNY
 Etole, lisy, pelerynki, kołnierze
 POLECA
 SKŁAD FUTER
R. STASZEWSKI i R. MASŁOWSKI
 Warszawa, KRUCZA 26
 TELEFON 223-70
 Przeróbki, farbowanie sposobem
 lipskim.

99

KRAJOWA FABRYKA ROWERÓW
WYŚCIGOWYCH DROGOWYCH
 i DZIECINNYCH
 ORAZ CZĘŚCI ROWEROWYCH
Fr. Zawadzki
 WARSZAWA
 ul. Bagatela 8.
 tel. 66-35.

104

MAGAZYN MÓD
S. BAŃKOWSKIEJ
 Warszawa, ul. Chmielna 12.
 Poleca: Najświeższe fasony kapeluszy,
 sukien i bluzek. 100
 DUŻY WYBÓR. CENY UMIARKOWANE.

Pracownia Kapeluszy Damskich
 WARSZAWA

JADWIGI CISZKIEWICZOWEJ
 Warszawa, Chmielna 30. Tel. 144-22.

ZAKŁAD WYROBÓW
 RYMARSKICH i SIODLARSKICH
 ORAZ GALAN-
 TERYJNYCH **P. ORZESZEK**
 w Warszawie, Marszałkowska 39a.
 Przyjmuje wszelkie obstalunki
 i reperacje po cenach umiarkowanych

Krawiec
Damski
 MISTRZ CECHOWY

Napoleon RODZIK
 ZIELNA 4 m. 3. TEL. 244-27.

POLECA TYLKO NA ZAMÓWIENIA:
Wiosenne płaszcze,
okrycia i kostjomy

z własnych i powierzonych materiałów

Krój wykwinny.
Wykonanie solidne
Ceny przystępne.

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

W A R S Z A W A,

MARSZAŁKOWSKA № 145.

OKRYCIA

KOSTJUMY

SUKNIE

podług ostatnich modeli

gotowe w wielkim wyborze i na zamówienia

Helena Korozo - Cybulska

LEKARZ DENTYSTA
WILCZA 26a. m. 17

110

WAGI

do gospodarstwa domowego
i do wszelkich celów oraz
odważniki poleca:

Fabryka **A. KRZYKOWSKI** w Warszawie,
Wag Skład fabr. Piękna 45.

51

FABRYKA MANEKINÓW
KANTOR ŻURNALI MÓD

KOSS

ŻÓRAWIA 30 TELEFON № 154-12

Poleca się żurnale wiosenne i letnie
po cenach redakcyjnych.

54

PRACOWNIA OBUWIA
DAMSKIEGO, MĘSKIEGO
i DZIECINNEGO

J. GALIŃSKI

WARSZAWA, Tel. 246-73, CHMIELNA 36

109

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona	90 zł. — gr.
1/2 "	51 " 75 "
1/4 "	29 " 25 "
1/8 "	15 " 75 "
1/16 "	9 " — "
1/24 "	6 " — "

Za tekstem o 50% drożej.

W tekście o 100% drożej

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się
nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń
Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje
wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia
zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony
przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogło-
szenie drobniejsze ma być powtarzane,
za każde trzy razy należy wnieść należność
z góry.

Prenumerata „Bluszczu”

WYNOŚI

miesięcznie z przesyłką	3 zł. 50 gr.
numer pojedynczy	1 " — "
zagranicą miesięcznie	7 " — "
zmiana adresu	30 " — "

od prenumeratorów kwartalnych przyjmuje
się tylko zaliczkę

Na bieżący tydzień obowiązuje kurs
dnia dzisiejszego t. j. 1 złoty 1.800.000 mk.

Reklamacje numerów zaginionych uwzględ-
niane są do 2 tygodni bez pobrania kosztów

**Wysyłkę „Bluszczu” przerywa-
my stanowczo w razie nieopła-
cenia prenumeraty do połowy
miesiąca.**

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszica Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

MARJA CYDZIK

LEKARZ-DENTYSTA

WSPÓLNA 49, TELEF. 125-25

przyjmuje od 10 do 2 i od 5 do 6 pp.

we czwartki tylko od 5 do 6 pp.

81

POLSKA SPÓŁKA HOŻA 19
SPORTOWA

poleca wszelkie

ARTYKUŁY SPORTOWE

KATALOGI ilustrowane gratis

69

POLSKO-AMERYKAŃSKA
SPÓŁKA AKCYJNA

„SOUTHERN TRADE”

Pracownia haftów artystycznych i wy-
kwintnej bielizny. Wykonanie szybkie
i dokładne. Ceny przystępne.

Mokotowska 12 m. 5.

97

LEKARZ-DENTYSTA
Zofja Chondzyńska

PRZYJMUJE: BRACKA 3 m. 3

od 4 do 7 wieczór

106

Kilimów nauka i warszta-
ty udoskonalone

FABRYKA MASZYN

Inż. **W. ŻÓRAWSKI**

ul. Wilcza 2, telefon 188-16 i 88-16

85

PRACOWNIA HARMONII
STAMIROWSKIEGO

Warszawa, Kopernika 42.

WYKONYWA NOWE-ORAZ REPERACJE
KOREKTA FISHARMONII

114

PRALNIA CHEMICZNA I FARBARNIA

POLECA

Helena OLSZEWSKA

ZŁOTA 36 — SKLEP

62

CZESANIE PAŃ

MANICURE

J. SZYMAŃSKA

Parter

Smolna 40 m. 12.

105

EKONFEKCJA DAMSKA I DZIECINNA

C. DRABIŃSKA BRACKA 5.

Poleca suknie, bluzki, spódnice, szlafroki, bieliznę
damską, fartuchy gospodarskie. Sukienki, mundurki,
fartuszki pensjonarskie, paltka, garnitury szkolne dla
chłopców, bieliznę dziecięcą, gotowe wyprawki dla
::: noworodków. :::

CENY PRZYSTĘPNE — ROBOTY SOLIDNE

67

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ,
T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA —
Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” — Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40